Świat Kobiecy

Rok 1928 Warszawa — Lwów Numer 12



MARJA PRZYBYŁKO-POTOCKA

WARUNKI PRENUMERATY : Prenumerata wraz z przesyłką kosztuje w Administracji Lwów, Chorążczyzna 27, miesięcznie zł. 3·80, kwartalnie zł. 10·50, półrocznie zł. 18·—, rocznie zł. 36. — Numer pojedyńczy 2 zł.
Kwotę prosimy nadesłać wraz z zamówieniem blankietem P. K. O. (Konto Nr. 140.810, Księgarnia Polska), przekazem pocztowym lub w liście znaczkami pocztowemi.
Można także prenumerować w księgarniach, biurach gazetowych i t. p. Cena przy odbieraniu poszczególnych zeszytów **miesięcznie zł. 3·60, kwartalnie zł. 10·—** lub na poczcie **cena miesięczna zł. 3·66, kwartalnie zł. 10·17.**

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | NR 12. — ROK VIII | WARSZAWA — LWÓW | 15 CZERWCA 1928 ROKU

KAPŁANKA DOMOWEGO OGNISKA

KOBIETA umila mężczyźnie życie. Temu nikt nie zaprzeczy. Prawdą jest jednak, że i złamać je ona potrafi, jak chyba żaden przedstawiciel płci tak zwanej brzydszej i silniejszej.

Że brzydsza ona jest — nie zaprzeczam. Czy silniejsza? W to pozwalam sobie wątpić.

Słabiuchne stworzonko Boże, byle było do ludzi podobne, jednym jedynym grymasem zwycięży mówiącego choćby co drugie słowo o harcie i zasadach, Goljata-Katona.

A cóż dopiero, gdy to miłe stworzonko jest naprawdę... miłe i urodziwe.

Każda potwora znajdzie swego adoratora — głosi przysłowie, a choć przysłowia są pono mądrością narodów, wolimy wszyscy, by te potwory jednak były najmniej potworami.

Kobieta więc umila życie mężczyźnie. Umila i — przyznajmy otwarcie... ułatwia.

Optymizm musi tu pobić pesymizm, bezstronność zaś przyznać każe, że właśnie kobieta i tylko kobieta w życiu codziennem zasługuje na miano bohaterki.

On, pan domu, pozostawiwszy kilka złotych na stole, wyrusza do pracy zawodowej. Szara ona częstokroć i żmudna, urozmaicana obficie troską o utrzymanie rodziny.

Ona — ta ośmieszana i wydrwiwana przez współczesnych mędrców swojskiego chowu, kapłanka domowego ogniska, matka i żona, gospodyni i wierna towarzyszka życia, podpora i pocieszycielka w momentach zwątpienia — z tych kilku złotych zbudować musi cały gmach domowego szczęścia i spokoju.

O ile żywot jego przeplatany jest chwilami, w których zapomina się, mimowoli nawet, o molach, które nas gryzą, jej życie, przeważnie monotonne i jednostajne, latami podobne do siebie, upływa na bezustannem wiązaniu końca z końcem, na spisywaniu groszowych rachunków.

Jakie to szare, jakie strasznie szare!

Prawda, zarzucamy, że kobieta powojenna odskoczyła daleko od kobiety przedwojennej. Czy zarzut ten jednak jest słuszny? Czy może ona nie jest gorszą od tamtej, tylko inną.

Zmieniony system wychowania, szkoły koedukacyjne, wspólna praca biurowa kobiety i mężczyzny wpłynęły bezsprzecznie na sposób jej wysławiania się i bycia, ale...

Najważniejszą rzeczą jest jednak w danym wypadku to *ale*...

Minęły już bezpowrotnie czasy posażnych jedynaczek. Nawet komedje: „Dom otwarty", „Nasi zięciowie", „W pogoni za mężem", „Siedm cór na wydaniu", czy jak je tam nazwiemy, przeszły do literatury. To już nie życie, ono bowiem popłynęło wartko odmiennem korytem.

Panienka, nie oglądając się na uciułane w trudzie i znoju oszczędności rodzica, sama myśli o swej przyszłości; zamąż wyjdzie albo z nakazu serca, albo pójdzie samotna przez życie, bez obawy; zapracować na nie potrafi.

Pracuje wspólnie z męską połową rodzaju ludzkiego, więc i stosunek towarzyski z nią musi być inny niż dawniej. Swobodniejsza w mowie i w ruchach, nie potrzebuje być koniecznie gorszą od swej matki czy babki. „Grająca" rolę nieuświadomionej kapitolińskiej gęsi, w obecnych warunkach bytu byłaby anachronizmem. Naraziłaby się na ośmieszenie, a śmieszność dla ubogiej panienki — przedewszystkiem — jest zabójczą.

Z jednej strony słyszymy zarzuty o kobietach, wysiadujących godzinami w renomowanych cukierniach i kawiarniach lub snujących się dla flirtu po korsie; z drugiej nudzą nas gosposie, lamentujące iż ceny podskoczyły znowu na targu czy w sklepach.

Jedne są zepsute, drugie nudne!

To są krańcowości, istnieje jednak i złoty środek.

Ten nie zawodzi nigdy: ani w polityce, ani w życiu. Bezmyślnych papug nie brakło po wsze czasy w żadnem społeczeństwie. Naród polski nie stanowił bynajmniej pod tym względem wyjątku. Żyły one wśród nas przed wojną; żyją i obecnie. Nie wszystkie jednak inkryminowane niewiasty zasługują na osąd tak ostry, a choćby i zasługiwały, tworzą — to już nie ulega wątpliwości — minimalny procent kobiet polskich. Rzucają się w oczy, a setki tysięcy pracują jednocześnie w odmienny sposób w domu, w szkole i w biurach. O tem pamiętać się musi przed wydaniem ostatecznego wyroku.

Ale, ale, są jeszcze nudne, groszowe rachmistrzynie.

Porozmawiajcie z niemi w chwilach wypoczynku po trudach domowych o literaturze, sztuce, muzyce, wychowaniu dzieci, a choćby o sprawach społecznych, ba, nierzadko nawet o polityce, a wówczas wyznaczycie tej kapłance (!) domowego ogniska odpowiednie a zaszczytne miejsce w hierarchji społecznej i uderzycie przed niejedną czołem, tutaj bowiem, nie zaś gdzie indziej, szukać należy prawdziwych bohaterek codziennego życia.

Nie daj Boże nam nowej wojny. Gdyby jednak tyle dziwnie osobliwa chwila wybić miała kiedyś na zegarze naszych dziejów, w okopach z bronią w ręku znajdą się niezawodnie, obok nauczycielek, biuralistek, zapalonych gosposi, reprezentantek kół robotniczych i rzemieślniczych — i lekkomyślne papużki z korsa.

Tej wiary w serce polskie nikt u mnie nie wypleni. Ba, wierzę nawet, że uwagi moje nie wywołają polemiki ze strony najzawziętszego bodaj pesymisty.

Chyba będzie to utarczka... dla efektu.

Michał Rolle

ROZMOWA Z MARJĄ PRZYBYŁKO-POTOCKĄ

ROZRÓŻNIAM dwa rodzaje t. zw. „interviewerów". Jeden, to ludzie wiecznie zalatani, zadyszani. Na kartkach zapisują długi, obrzydliwy szereg zapytań, w rodzaju: „nad czem pan obecnie pracuje", „jaki jest pani ulubiony film", „do którego kraju wybiera się pani teraz po laury" i t. d., i t. d., czyhają bezlitośnie na czyjś drogi spokój, wślizną się wszędzie, do przedziału kolejowego, w którym jedzie słynna gwiazda filmowa, do garderoby teatralnej między jednym a drugim aktem, do loży, do numeru hotelowego, do restauracji, do windy, do fryzjera, do pracowni, w chwili gdy biedny petent chciałby do stu tysięcy djabłów być sam.

Jest to ich „zawód". Robią tyle a tyle wierszy „na zamówienie". Dopatruję się także w tem trochę... sportu. W przeciągu pół godziny zdobyć odpowiedzi na tyle a tyle zapytań — to jest także umiejętność pewnego rodzaju. Są to ludzie, których — gdybym była sławna...— obawiałabym się jak rozhukanych koni. Nigdy bowiem niewiadomo, gdzie tacy ludzie upatrzonego delikwenta znajdą i o co go zapytają.

I jest drugi rodzaj „interviewerów". Są to ci, którzy nie tylko „pytają", ale sami mają coś do powiedzenia. Którzy robią wywiad tak, jakby zaciągali się dymem doskonałego papierosa, lub smakowali świetne wino.

Muszę pochwalić sama siebie, że należę do... tego drugiego rodzaju.

Nigdy nie czyhałam na t. zw. „sławy" ani w westybulu kolejowym, ani w windzie.

Zrobić z kimś wywiad — to znaczy przeczytać krótką, bardzo ciekawą książkę. Jakże ostrożnie zatem trzeba dobierać autorów!

Wywiady, które czytamy, są zwykle banalne. Główny powód upatruję w tem, że osoby, z któremi robi się wywiady są zazwyczaj — nieciekawe. Jakaś balerina skoczy w kabarecie parę razy wyżej, aniżeli jej przyjaciółki — robi się z nią wywiad. Inna zaśpiewała niezgorzej arję w modnej rewietce — robi się z nią wywiad. Poeta napisał parę wierszyków — umieszcza się jego fotografję i daje z nim wywiad. Czy nie za bardzo pospolicieje dzisiaj forma wywiadu?

Osoby z któremi robię „wywiad" muszą mnie przedewszystkiem bardzo głęboko interesować. Muszę czuć chęć, — chęć to nawet za mało — muszę czuć wewnętrzny poryw obcowania z niemi, jak z ciekawą książką. Ci ludzie muszą mnie i mojemu czytelnikowi naprawdę coś dać. W przeciwnym razie, wywiadu nie robię, choćbym miała zamówienie na wywiad z Dekobrą lub Ilją Erenburgiem. Nigdy nie czyhałam na „sławy murowane", takie które interesują jak najszerszą publiczność, nie robiłam wywiadu z Mary Pickford, gdy przejeżdżała przez Warszawę — ale za to z Zofją Stryjeńską, nie z siostrami Halama, za któremi szaleje cała Warszawa — ale z Zofją Nałkowską, nie z Hanką Ordonówną — ale z Ireną Solską, nie z Zulą Pogorzelską — ale z Hanną Nałkowską, rzeźbiarką, nie z panem Bodo, ulubionym piosenkarzem, ale z mało znanym Rafałem Malczewskim.

A raz zdarzyło się także, że przeprowadzonego wywiadu nie napisałam — — Był bowiem za piękny — —

Marja Przybyłko-Potocka jest w mojej nielicznej galerji — typem, który mnie zawsze interesował bardzo żywo. Mając niedawno możność przeprowadzenia z nią nie wywiadu, ale głębszej, na pierwiastkach wewnętrznych opartej rozmowy — chciałabym niektóre zdania utrwalić.

Dlatego nie dowiecie się, gdzie rozmowa odbywała się, na jakiem tle, jaką toaletę miała pani Przybyłko-Potocka. Nic z tego.

Dążenie do wyeliminowania pierwiastków zewnętrznych.

— Teatr dla mnie jest sztuką równie wysoką jak rzeźba, malarstwo, poezja, czy muzyka. Dostaję do rąk sztukę. Martwy papier. Wmyślam się w tę pewną, przedstawioną mi płaszczyznę życia, wżeram niestrudzenie — i oto zaczynam budować człowieka, zaczynam go tworzyć. Najpierw szkicuję jak malarz, robię pierwszy zarys modelu niby rzeźbiarz w glinie, człowiek rośnie, zaczyna pulsować życiem. I to jest praca twórcza. Praca wewnętrznego natchnienia, równie piękna i równie wysoka jak praca poety, czy muzyka. Nie wystarczy wyjść na scenę i mówić choćby najpoprawniej to co każe autor, odczuwać jego intencje, to wszystko za mało — trzeba instynktem twórczym, trzeba mozolną pracą wewnętrzną *stworzyć człowieka*. Autor stwarza szkielet, ale aktor obleka ten szkielet w ciało — i teraz gdy naczynie jest już żywe, wlewa w nie swoją pasję, wszczepia pulsację, gdyż w przeciwnym razie byłaby to tylko ruszająca się bryła mięsa. Nie tworzę człowieka w jakiejś sztuce raz jedyny — na premjerze — tworzę go każdy następny wieczór, choćby sztuka szła pięćdziesiąt razy, tworzę go ciągle na nowo — i ciągle na nowo nie mogę mojej twórczej tremy przezwyciężyć. Napinam się jak cięciwa łuku, a wszystko dokoła w takiej chwili nie istnieje — mam jedno pragnienie — wystrzelić czynem twórczym w górę.

— Na to pozwolić sobie może aktor stojący już na szczycie — tak jak pani.

— „Szczyty" w sztuce? Ależ na Boga! Czyż ma kto kiedy świadomość, że stoi na jakiejś zdobytej granicy — na szczycie. Szczyty mogą być w karjerze. Ktoś powie sobie: Mam zdobyć takie a takie stanowisko, tyle a tyle pieniędzy — zdobyłem to, stoję na szczycie mojej karjery. Ale w sztuce. Czyż artysta prawdziwy może mieć kiedyś świadomość, że wyszedł na jakąś górę — On, w męce zdobywania ciągle idzie naprzód, nie wie, nie liczy ile zrobił kroków i ile jeszcze zrobić zdoła — Każdy głęboki artysta myśli, że drogę swoją dopiero co rozpoczął... Na szczycie musi być już pusto. Ale zdobywanie pewnych kilometrów twórczej drogi jakąż radością szaloną napełnia nasze piersi!

Padają zdania coraz gorętsze.

Staramy się dociec „jaką sztuką jest teatr?"

— Każda sztuka, że tak powiem, jest poniekąd indywidualna, najbardziej chyba muzyka. Tu artystą swojemi uczuciami może sugerować tłum. — Ale teatr? Teatr jest to *dusza zbiorowa, dusza wspólna*. Pracując tyle lat, nieustannie czuję to pospólne tętno. W teatrze autor, reżyser, aktor i widz podają sobie ręce, wspólnie żyją.

— Tak, jest w tem co pani mówi dużo prawdy — bardzo często mam wrażenie w teatrze, że publiczność przychodzi nie tylko poto „aby odnieść jakieś wrażenia", ale żeby wspólnie z aktorami przeżywać, każdy tam na scenie stara się zobaczyć jakąś swoją wewnętrzną cząstkę, są może nawet tacy, którzy sztukę wspólnie z autorem budują, piszą ją, scenę po scenie.

— O zapewne. I dlatego, tylko ci autorzy zostaną w teatrze wiecznie, którzy umieli poruszyć wszystkie uczucia tej *„duszy zbiorowej"*, uczucia najlepsze aż do najbardziej zbrodniczych. Zrobił to dotychczas jeden Szekspir i dlatego jest genjuszem, dlatego zostanie w teatrze wiecznie.

— O jakie podstawy, elementy — oprze się według pani w przyszłości teatr?

— Zawsze o jedne i te same. One nie zmieniły się od wieków i nie zmienią. Na imię im *Piękno* i *Wewnętrzna Prawda*.

— A środki?

— Tu jest właśnie nieporozumienie! Każda epoka dążyła do tego celu w inny sposób. My dążymy chaosem, jakąś zawikłaną linją spiralną. A należałoby wybrać drogę

bardzo prostą. Elementy najmniej złożone. Tylko, że to tak trudno! Jakże łatwo o patos, o przeładowanie, o sztuczność i wymuszoność form! Jak trudno o prostotę!

Zaczynamy rozmawiać o kobiecie.

— Przybyłko-Potocka jest na tym punkcie entuzjastką.

— Wszędzie jest kobieta. Mężczyzna żyje przez nas. Mówi pani o genjuszach? A któż ich zrobił genjuszami, przez kogo i dla kogo wznieśli się? Przez kobietę. Dla kobiety. Mówi pani o straceńcach? Któż ich zepchnął na dno? Kobieta. Ona jest wszędzie. Ona wszystkiem kieruje.

Cieszę się, że jedyny mężczyzna, który słucha tego, jest za drugiemi drzwiami i że nie wypada mu oponować.

— Mam tylko jeden żal do kobiety współczesnej. Przestała dbać o piękno na płaszczyźnie życia erotycznego. Zordynarniała trochę w dancingu przy wrzasku murzyńskich „trottów". Czy nie sądzi Pani, że nasza matka przy dźwiękach walca „romansowała" o wiele piękniej, elegancie? Że było w tem więcej poezji, prawdy, artyzmu. Ale wierzę, że przyjdzie czas, kiedy kobieta zrozumie, że jej z tą pospolitością wcale „nie do twarzy".

Pozatem — kobieta jest dobra. *Kazimiera Alberti*

WIELKI MAG — HENRYK GALEEN

Berlin, w czerwcu 1928

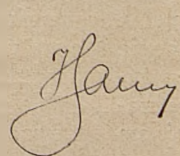
MAG, tajemniczy czarodziej, twórca największych fantastycznych filmów: Golem, Nosferatu, Student z Pragi, Gabinet figur woskowych, Alraune...

W olbrzymim pokoju, wśród przepięknych średniowiecznych mebli, siedzę naprzeciw Henryka Galeena. Pokój tonie w mroku. Nad nami dwa kandelabry ścienne oświetlają wielkie sczerniałe płótno Tintoretta — jedyny obraz na nagich poza nim ścianach — portret jakiegoś starca. Z kąta wyłania się rzeźbiony w drzewie święty niewiadomego pochodzenia. Naprzeciw biurka, wzorowanego na stole Marcina Lutra — konfesjonał. Z pokoju, przerobionego z malarskiego atelier, prowadzą schody w górę — do jakichś ciemnych komórek na strychu.



Trochę tu niesamowicie. Rad jestem jednak, że w kącie tego surowego przybytku znalazły się i dwa klubowe fotele, w których z przyjemnością spędzam długie godziny na pracy lub pogawędce z Galeenem.

Tę ponurą salę stworzył sobie Galeen dla swej pracy: tu powstały scenarjusze największych jego filmów. Przystosował ją do siebie równie trafnie, jak tło filmowe do postaci bohatera. Nie znaczy to wcale, by przemiły p. Galeen był surowym ascetą lub zadumanym mistykiem. Bohemien z gruntu duszy, nabył przez długie lata pobytu w Berlinie pełną jowialnego humoru rzeczowość i rubaszny, cięty dowcip rodowitego berlińczyka. W życiu i w filmie kpi niemiłosiernie z czczej nastrojowości, z blagierskich sentymentów, z zakłamanych tragicznych problemów. We wszystkich swych filmach, od Golema zacząwszy, a skończywszy na genjalnem (naprawdę genjalnem!), nie granem dotąd „Poskromieniu złośnicy", szuka Galeen ostatnich konsekwencyj, najskrytszych prawd w swych postaciach. Tu, w tej gotyckiej sali, jest Galeen spowiednikiem swych figur, spowiednikiem o nieubłaganem spojrzeniu inkwizytora. (Z tego spojrzenia bierze swój początek podziwiana częstokroć, wśród całej fantastyczności wydarzeń, logiczna konsekwencja jego filmów, prawdziwość jego postaci, osłonięty pajęczyną majaków głęboko ludzki problem.)



Ale w podobnych gotyckich i renesansowych, staroniemieckich knajpach siedzi się na twardych ławach przy dębowych stołach przed kuflem piwa... W następnej chwili „spowiednik" Galeen, z rubasznym humorem rozgrzesza swoje postacie ze zbrodni, na które sam je skazał, przebacza im wszystko — prócz zakłamania, prócz literackich, „żelatynowych" dusz. („Żelatynowa" dusza bohatera filmowego odpowiada „papierowej" duszy bohatera romansu.) Czasem myślę o nim samym jak o postaci z Rabelais'go.

Galeen jest dziś jednym z najwyżej cenionych filmopisarzy i reżyserów Europy. Sława jego datuje się od dziecinnych lat kinematografji, od roku 1913, w którym wspólnie z Pawłem Wegenerem stworzył owo pierwsze, wielkie, poetyckie dzieło filmowe — Golema. (Dziś z uśmiechem opowiada o ówczesnych pisarskich i technicznych problemach filmowych.) Od tego czasu patentowano go na twórcę filmów fantastycznych. Mało kto wie jednak, że Galeen ma w swym dorobku cały szereg filmów, zgoła odmiennych od Golema i Studenta z Pragi: szereg znakomitych filmów z Mią May, najlepsze, poetyckie niemal scenarjusze awanturniczych filmów Harry Piela. „Inkwizytor" Galeen jest świetnym automobilistą, gra z zapałem w tennisa, odbywa kilkomiesięczne wyprawy w łódce wioślarskiej i prócz strasznych bajek z „Gabinetu figur woskowych" potrafi stwarzać romantyczne i przedowcipne sytuacje dla zbója — bohatera *Zigano*.

*

Mogłoby się komuś, oceniającemu gotowy film, wydawać przesadą, skoro mówię o poetyckiej wartości scenarjusza, o głęboko ludzkim problemie. Tu, w tym szkicu jednej z najwybitniejszych indywidualności filmu, właśnie w tej sylwetce jednego z nielicznych, głęboko wartościowych filmopisarzy, odsłonić muszę kilka szczegółów z przebiegu powstawania filmu w dzisiejszej, zamerykanizowanej produkcji niemieckiej; muszę na konkretnym przykładzie wskazać na nieprawdopodobne trudności, przeciwieństwa, ograniczenia, na jakie natrafia nawet tak jednozgodnie uznany, ceniony i rozchwytywany przez producentów autor i reżyser. Niech ten konkretny, w niczem nieurojony przykład dowiedzie, *jak dalece odbiega* częstokroć *gotowy film od swego pierwszego*, żadnemi praktycznemi względami nieskrępowanego *scenarjusza.*

W wrześniu ub. roku powierzono Galeenowi sfilmowanie „Alraune" Ewersa. Galeen, przeciwnik pustych, ewersowskich sensacyj — (nazwał je trafnie „oparami z piwa") — odmówił. Związany jednak różnemi kontraktami, omotany w paragrafy, musiał podjąć się tego zadania, do którego przystąpił z nieukrywaną niechęcią i niewiarą w jego po-

wodzenie. Wciągnął mnie do współpracy; znam każdą fazę powstawania tego filmu, byłem uczestnikiem licznych konferencyj na temat scenarjusza z finansowymi potentatami filmu.

Przedewszystkiem dla ułagodzenia cenzury filmowej, nieporównanie ostrzejszej w całym świecie od cenzury powieściowej — (wystarczy wspomnieć, że w zeszłym roku cenzura amerykańska nie tolerowała w filmie faktu zdrady małżeńskiej) — musiała powieść Ewersa, nie posiadająca żadnej przewodniej myśli, otrzymać wyraźną tendencję moralnościową. Sztuczny ojciec Alrauny, eksperymentator ten Brinken, ponieść musiał w filmie karę za swój bluźnierczy pomysł stworzenia człowieka z nasienia wisielca i rozpustnicy. Brygitta Helm, zaangażowana już przed powstaniem scenarjusza do roli Alrauny, zyskać sobie musiała, jako bohaterka, zrozumienie i sympatję widza; wręcz przeciwnie od upajającej się swem nienaturalnem pochodzeniem Alrauny Ewersa — musiała zatem, dowiedziawszy się o tajemnicy swego powstania, zapałać wstrętem i nienawiścią do swego twórcy: zemsta przeczystej dzieweczki Alrauny, grającej z konieczności uwodzicielkę, musiała się stać przewodnią myślą filmu. Tak więc powstał scenarjusz, w którym jedna z głównych postaci powieści (Frank Braun) — stała się zgoła zbyteczna. Ale do tej roli zaangażowany już był Ivan Petrovich, a nabywca filmu na Francję i Belgję oświadczył, że bez Petrovicha — wycofa się z umowy. Galeen musiał więc Petrovicha przyczepić. Na wschodnią Europę kupił był cały film „na pniu" p. P. z Wiednia, z tym warunkiem, że co najmniej 600 metrów odgrywać się będzie w cyrku, a bank, finansujący producenta, wyraził życzenie, by podkreślić niemieckie pochodzenie filmu, np. przez wprowadzenie w pierwszym akcie „Burschenschaftu"... Ograniczony budżet nie pozwolił na zrealizowanie całego szeregu pomysłów, a maksymalną długość filmu ograniczono do 2800 metrów...

Dość! Względów komercjalnych, które jeszcze w czasie kręcenia filmu nakazały nam kilka zmian, skrótów i wtrąceń, cytować mógłbym bezliku.

Walka z producentem, z zachłannym spekulantem, była zawsze największą bolączką Galeena. To też wielką ulgą w pracy stanie się dlań zapewne szczęśliwy zbieg okoliczności, dzięki któremu udało mu się wspólnie z Olgą Czechową założyć własną firmę, opartą o poważne kapitały angielskie.

W tej chwili kręci Galeen w Londynie pierwszy film własnej produkcji: historję angielskiej mistrzyni tennisa. Dawno już tęsknił za pracą, którąby go wyrwała z atmosfery ponurej fantastyczności.

Korty tennisowe mają słońca bez miary. Z ciekawością oczekuje świat filmowy tego słonecznego filmu Galeena.

Józef Mayen

Z JAKIEGO ŹRÓDŁA

OGŁOSZONY przed niedawnym czasem w spirytystycznem piśmie włoskiem „Il Velzo e Luce" artykuł pod tytułem „Mussolini nelle predizioni di una celebre medium", przypomniał światu postać głośnej niegdyś Heleny Smith, twórczyni arcyciekawych obrazów religijnych, malowanych w stanie snu. Wprawdzie sławnych medjów jest wiele na świecie; nie brak również obrazów, zazwyczaj mało wartościowych, rzekomo lub istotnie malowanych w transie. Bywały nawet wystawy takowych, z przydatkiem informacji w ile minut ta lub tamta kompozycja została wykonana. Obrazy jednak Heleny Smith różniły się znacznie od powyższych produkcji i warto poświęcić im parę słów.

Właściwe nazwisko Heleny Smith brzmi Elisa Müller, w bogatej jednak literaturze naukowej, powstałej dokoła niej, występuje zawsze pod tym pseudonimem. Gdy poznałam ją w roku 1913, liczyła około 35 lat. Była to tęga rozłożysta Szwajcarka, o powierzchowności pociągającej, choć pospolitej. Zasadniczemi cechami jej szerokiej twarzy były dobroć, łagodność i spokój nieomal roślinny. Ani śladu sztuczności lub pozy. Była zrównoważona, wesoła, pełna zdrowego rozsądku. Przeciętne średnie wykształcenie szwajcarskie wystarczało jej w zupełności. Lubiła czytywać powieści naiwne i proste jak ona. Zjawiska otaczające ją pierścieniem cudowności oglądała ze spokojnem zdziwieniem, niby rzecz leżącą poza nią. Nie wiem czy znała uczone foljały nastroszone zawiłą terminologją, pisane o niej, — jeżeli zaś je czytała, wątpię, by zrozumiała z nich wiele. Co do kwestji wiary była głęboko religijną, lecz w swoisty sposób: protestantyzm, w którym się wychowała, rzuciła, — oficjalnie na katolicyzm nie przeszła. Praktykującą nie była.

— Jej przeszłość?

Pochodziła z rodziny drobno mieszczańskiej, utrzymywała się od wczesnych lat sama, prowadząc niewielką pralnię chemiczną.— Potężne siły fluidyczne, przechodzące w bogactwie wszystko co zaobserwowano dotychczas u innych medjów, manifestowały się w niej od dziecka. Jako kilkoletnia dziewczynka widywała nieraz wśród otoczenia postacie, które zdawały się jej być żywe i realne, z któremi rozmawiała swobodnie a których reszta jej rodziny nie widziała. Zjawy te miały charakter życzliwie pogodny. Jakiś „szary pan" odprowadzał ją prawie codziennie do szkoły. Dziecinne te widzenia znikły wraz z dzieciństwem, lecz zdolności medjumiczne zostały. Gdy Helena Smith liczyła już dwadzieścia parę lat, zwróciły one uwagę znanego uczonego prof. Flournoy, który począł używać jej jako medjum w celu eksperymentalno - naukowym. Wyniki, nadzwyczaj interesujące, zostały zebrane w obszernem dziele tegoż prof. Flournoy: „Des Indes, à la planète Mars", a nazwisko Heleny Smith stało się odrazu głośnem. Dziewczyna miała zatem karjerę zapewnioną. Od jej woli jedynie zależało żyć odtąd wygodnie bez pracy rąk, jeździć po całej Europie zbierając pieniądze, widzieć swe fotografje zamieszczane we wszystkich pismach, — stanowić objekt ciekawości uczonych i gawiedzi wszystkich krajów, — zadziwiać niezwykłemi lewitacjami, aportami i materjalizacjami, by nakoniec, ulegając zwykłej u medjów próżności, w miarę wyczerpywania się niezależnej od jej woli siły, ratować swą sławę kuglarskiemi sztuczkami, a nareszcie skończyć marnie głośnym skandalem zdemaskowania, przekreślającym w opinji ogółu wszystkie objawy dawane przez nią kiedykolwiek.

Helena Smith jednak posiadała tyle równowagi i zdrowego, szwajcarskiego rozsądku, że powyższy nieuchronny los każdej Eusapji Palladino nie pociągał jej bynajmniej. Siły które działały i mówiły za jej pośrednictwem, — siły nieznane, mętne, nierzadko w swoich przejawach cudaczne, czyniące z niej bierne nieodpowiedzialne narzędzie, trwożyły ją i odpychały. Nie wiedziała, — podobnie jak nie wie tego nikt z nas, skąd właściwie pochodziły i co wprawiało je w ruch. Nie mogła pojąć dlaczego, jakim sposobem, jej własna mało wprawna w pisanie ręka, żadnych języków ani liter prócz rodzinnych nie znająca, kreśli swobodnie całe stronnice w bezbłędnym sanskrycie? W przekonaniu, że niebezpieczeństwem, a nawet pewnego rodzaju prostytucją duchową jest oddawanie swego ciała, swego „ja" mocom nieznanym i niemożliwym do skontrolowania, odmówiła po pewnym czasie stanowczo udziału w seansach, ku niemałej zgryzocie całego grona uczonych. — Medjum tak wyjątkowej siły, a przytem uczciwe! — Nauka

traciła wspaniałe pole do doświadczeń, ale Helena Smith była niewzruszoną.

Mieszkała nadal wraz z matką w zajmowanem dotychczas mieszkanku w Genewie przy ulicy Liotarda Nr 37. Życie jej płynęło spokojnie, — ciche, oszczędne, nie wyróżniające się niczem z tysiąca innych bytowań. Objawy fluidyczne znikły, nic nie przypominało ich istnienia, nie zwiastowało powrotu. Meble same nie chodziły, światła same się nie zapalały. Bezsensowne stukaniny nie zakłócały snu w nocy.

Cudowność, która za parę lat miała wtargnąć do ciasnego mieszkanka, skupiała się widno gdzieś za progiem, nie rozpraszając swego natężenia na pospolite objawy. Lata mijały. Matka umarła. Helena nie wyszła zamąż; nie wiem doprawdy czy z braku sposobności, czy z niechęci do małżeństwa. Mieszkała sama, zawsze jednako zrównoważona, sumiennie i praktycznie prowadząc swą pralnię chemiczną.

Aż oto, późnym wieczorem, 11-go stycznia 1904 roku, po dniu pracy, spędzonym jak zwykle na wywabianiu plam i plisowaniu wieczorowych sukienek swych klientek, — Helena Smith, — ex-medjum uniwersytetu genewskiego, — zobaczyła po raz pierwszy zjawę, mającą odtąd towarzyszyć jej przez długi szereg lat. Zjawa ta była i jest do dzisiaj w pojęciu dziewczyny Aniołem, Duchem opiekuńczym, świetlistym; przeto i my, nie przesądzając kwestji co do natury zjawiska, — nazywać je Aniołem będziemy. „Anioł" miał postać taką właśnie, jaką wymarzyć mógł jej umysł prosty i dziecinny: promienny, biały, skrzydlaty, identyczny z wyobrażeniami św. Aniołów Stróżów podtrzymujących dzieci idące przez kładkę na popularnych kolorowych obrazkach. Anioł trzymał w ręku niewielki obraz przedstawiający głowę Chrystusa i rzekł: „Będziesz go malować." Widzenie znikło, by po paru dniach powrócić. Tym razem Anioł nie trzymał obrazu, lecz kazał dziewczynie kupić tej a tej wielkości zagruntowaną deskę, farby olejne, i — czekać.

— Jedną z charakterystycznych cech psychiki Heleny Smith stanowi jej spokój, — bezkrytyczny, nie analizujący, nie dziwiący się niczemu. Głębokie przekonanie, że wizja była Aniołem z Nieba zesłanym, zdwoiło jeszcze tę ufność. Kupiła deskę, komplet farb, paletę, — wszystko prócz pędzli o których Anioł nie wspomniał, i — czekała. Czekała cierpliwie co noc i czekała długo, bo dopiero dziesiątego dnia znana już jasność napełniła pokój. Skrzydlaty duch ukazał jej ponownie tenże sam obraz z głową Chrystusa, mówiąc: „Idź i maluj". — Godzina była przedświtowa. Bez wahania, Helena zapaliła światło, ubrała się i przeszła do sąsiedniego pokoju, gdzie na stalugach stała przygotowana deska. Była dość przytomną by położyć przed sobą zegarek i zapamiętać godzinę, — poczem świadomość jej zatonęła w niewiedzy zupełnej. Ostatniem wrażeniem był widok gęstej białej mgły wypełniającej szczelnie cały pokój.

Gdy wróciła do przytomności, wskazówki zegarka posunęły się o 30 minut, a na czystej przedtem desce widniała nawpół skończona głowa Chrystusa. Usta, dół twarzy, nie były jeszcze nawet naszkicowane, lecz zamyślone czoło, a przedewszystkiem oczy, wielkie, wymowne, o niepodobnym do oddania słowami wyrazie, patrzyły w dziewczynę głęboko. — Helena złożyła ręce w zachwyceniu i wtedy spostrzegła, że ma wszystkie palce obu rąk, a nawet dłonie zapełnione farbą, — czyli że, jednem słowem, malowała tylko palcami.

Gdy po dwóch podobnych seansach głowa została skończoną, — Anioł oznajmił Helenie, że jest powołaną do wymalowania 11-tu obrazów z życia Chrystusa. O przeznaczeniu ich dowie się dopiero po skończeniu cyklu. Do tej pory ma strzec całości obrazów, nie zezwolić by opuściły przed czasem mieszkanie, nie ciągnąć z nich żadnych dochodów. Wzamian za chętne przyjęcie tej misji, „Anioł", duch jasny, stał się prawie nieodłącznym towarzyszem dziewczyny, obecnym na każde myślowe zawołanie, służącym radą i opieką. Widzialny dla niej tylko, zjawia się zarówno w dzień jak w nocy, — wśród licznych ciekawych oglądających kompozycje, ukazuje jej dobrych i złych, wierzących i kpiarzy, demaskuje złodziei lub żądnych sensacji reporterów usiłujących ukradkiem sfotografować obrazy. Otoczona czujną opieką ducha, dumna choć zakłopotana spadłem na nią wyróżnieniem, wierząca bezgranicznie w boski pierwiastek zarówno zjawy jak nakazanej sobie pracy, Helena Smith tworzyła jeden po drugim obrazy i czuła się zupełnie szczęśliwą.

*

W zimie 1913 r. siedem kompozycji było już ukończonych, ósma zaś powstawała. Z wyjątkiem dwóch pierwszych przedstawiających głowy Chrystusa i Panny Marji przed Zwiastowaniem, — niewielkich rozmiarami, były to wszystko ogromne dzieła, naturalnej wielkości, malowane za wyraźnem rozporządzeniem Anioła na drzewie, nie na płótnie. Proces ich powstawania pozostał ściśle ten sam: pierwsze ukazanie wizji przyszłego obrazu, — staranie się Heleny o odpowiednich rozmiarów deskę i farby, — a potem codzień wieczorem przygotowywanie na palecie farb i spokojne, cierpliwe czekanie. Czasem na czekaniu mijał tydzień, dwa. Zaschnięte farby na palecie należało zastąpić nowemi. Aż pewnej nocy, przed świtem, Anioł ukazywał się wzywając do pracy. Wtedy następowało toż samo uczucie omdlewania w pokoju pełnym gęstej mgły, — pół godziny tajemnej wytężonej pracy i ręce umazane farbą po przebudzeniu.

— Mieszkanko Heleny Smith składało się z czterech małych pokoików, zagraconych, pełnych fotografji, robótek kanwowych lub szydełkowych i pocztówek. W tem otoczeniu, nad wyraz banalnem i ciasnem, — ogromne obrazy, stojące bezpośrednio na podłodze a sięgające sufitu, zajmujące całą przestrzeń, — robiły wrażenie niezwykłe. Zewsząd patrzyły na widza oczy, — dziwne, niezgłębione, o wielkiej mocy wyrazu, przenikające, mądre, boskie. Były wszędzie jednakie, choć wyraz się zmieniał, pełen bólu, miłosierdzia, chwały, albo majestatu. Okrążały ze wszystkich stron, przytłaczały swą wspaniałością i wymową. Człowiek postawiony z niemi twarzą w twarz, nie mogąc z braku miejsca cofnąć się ani usunąć, — czuł się niby złapany w potrzask i zmiażdżony. Gdzie się obrócił — leżało na nim spojrzenie niezapomniane. Uzmysłowiona szeregiem malowanych oczu wieczysta przytomność Boża, zwalała się ciężko na barki i trwała dopóki człowiek nie ukląkł, nie poniżył się. Wtenczas dopiero mógł albo się modlić, albo snuć dziwaczne myśli. Od obrazów tych, od ich techniki, szły jakieś dawne wspomnienia, wirowały w głowie, przesłaniały oparem wiekowym banalne mieszkanie upstrzone robótkami kanwowemi i fotografjami. Z oczu i myśli odpływała teraźniejszość, kołatały czasy inne w mroku poza obrazami... Pobożni mnisi malujący w zachwyceniu... Artyści, długim postem i modlitwą przygotowujący się do niezmiernego zaszczytu malowania Pana, Stworzyciela świata... A może też i jaki świątkarz ubogi, obcujący z Panjezusem w zapadłej polskiej dolinie wśród gór...

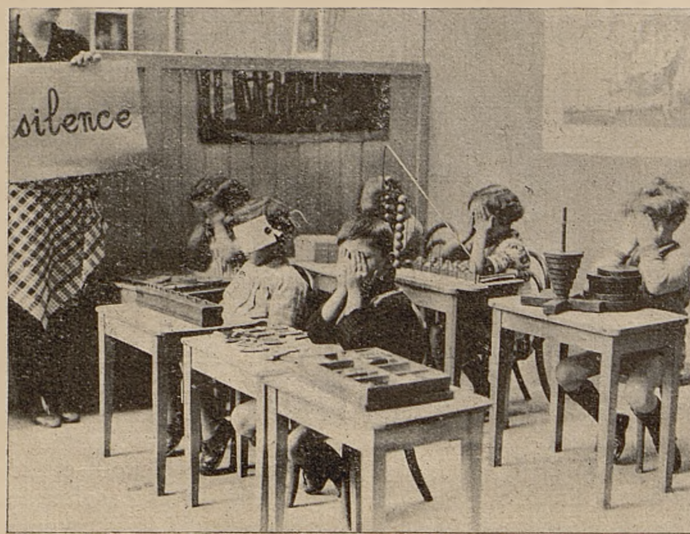
— Tylko oni mogli malować w ten sposób.

— Jednakże obrazy te nie były arcydziełami i mogły podlegać wielu krytykom. Po oswojeniu się z pierwszem wrażeniem, przy objektywniejszych oględzinach, uderzała przedewszystkiem pewna nierównomierność stylu. Pejzaż, wszędzie piękny i charakterystyczny, był traktowany prawie że realistycznie. Można było sądzić, że robiono go według fotografji, tak wiernie oddawał spękane skaliste pagórki, kamieniste chropowate drogi judejskie, stare zrujnowane cysterny, sykamory, oliwki poskręcane ze starości, — zachody słońca napoły pustynne.

(C. d. n.) *Zofja Kossak-Szczucka*

WRAŻENIA Z DZIECIĘCEJ SZKOŁY

DZIECI paryskie mają nadzwyczaj słoneczne dzieciństwo, otacza je łagodność, wyrozumiałość, pieszczota. Ale zdawaćby się mogło, że w chwili gdy porzucają dom rodzicielski i przestępują przez próg szkolny, następuje i dla nich powaga życia, kończy się okres beztroski. Jeżeli jednak dzieje się tak niekiedy, to dążeniem odnośnych kół francuskich jest zachowanie dzieciom możliwie długo ich radosnego uśmiechu. Cały szereg szkół dziecięcych zerwał więc z dawnemi systemami nauki i wychowania, zamienił surowość na zrozumienie psychologji dziecka, a uciążliwy program nauki na rozwój indywidualnych zdolności. Szczególnie ciekawą jest szkółka dziecięca, tworząca klasy przygotowawcze do *Collège Savigné*, oparta na systemie pedagogicznym *Montessori*.



Kierowniczki tej szkółki starają się o rozwój uwagi, pamięci i każdego ze zmysłów. System nauczania jest oparty na absolutnej swobodzie; każde dziecko zajmuje się tem czem samo zapragnie, a kierowniczki prawie niedostrzegalnie pilnują, aby dziecko nie ograniczało się do jednej obranej przez siebie dziedziny, a raczej do jednej zabawy. Gdyż zaznaczyć przedewszystkiem należy, że dziecko się nie uczy, a „bawi". Bawi się w *calcule*, w *grammaire* i t. d. Wyobraźmy sobie zabawę w gramatykę! A jednak to istnieje. Dziecko wyjmuje z szafki z zabawkami grę, która składa się z kartek jednego koloru, na których wypisane są rzeczowniki, przymiotniki i t. d., na innej kartce znów kategorje np. rodzaj męski, liczba mnoga i t. d., i dzieci układają sobie coś w rodzaju łamigłówki, która ich bawi, a zarazem poucza. Tego rodzaju gier jest cały szereg, dziecko uczy się odróżniać kolory, rozmiary, wagę, uczy się liczyć i t. d.

Bardzo wielką wagę przypisuje się rozwojowi pamięci. Najmniejszy dzieciak — a do szkoły przyjmowane są dzieci od 3 lat — jest po ukończeniu zajęć pytany co robił przez te 2—3 godziny, które spędził w klasie. Nauczycielki mówią, że dzieciom początkowo trudno bardzo przychodzi przypomnienie sobie szczegółów, stopniowo jednak pamięć się rozwija i po kilku miesiącach dziecko umie wyszczególnić dokładnie co robiło.

Bardzo ciekawy jest stosunek do kwestji dyscypliny. Naogół dzieci robią co chcą, zdarza się jednak, że dziecko nie przestrzega zwyczajów szkoły, np. nie kładzie przedmiotów, któremi się bawiło, na zwykłe miejsce; wtedy za karę nie wolno mu się przez kilka minut niczem zajmować. Ta „sankcja" jest podobno bardzo skuteczna. Aby zaś nauczyć dzieci umiejętności opanowania się w każdej okoliczności, zaprowadzone jest szczególne ćwiczenie. W pewnej chwili jedna





jedna z nauczycielek dzwoni i wywiesza wielki napis „*Silence*“, w tej samej sekundzie wszystkie dzieciaki obowiązane są porzucić swe zajęcie i zakryć oczy rękoma. Cisza i nieruchomość trwa minutę, dwie, trzy, poczem znów dzwonek i dzieci powracają do przerwanego zajęcia.

Aby dziecko nie pozostawało zbyt długo w pozycji siedzącej, nauczycielka siada do fortepianu i gra jakąś prostą melodję, podniecającą do tańca. Ale żadnych ruchów tanecznych nikt dzieci nie uczy; każde z nich kroczy pod dźwięki muzyki na swój własny sposób, zależnie od rozwoju słuchu i wrodzonego talentu tanecznego. Nauczycielki stwierdziły jednak, że słuch dzieci i zastosowanie się do rytmu wzrasta dość szybko.

Nader ciekawe jest stopniowe przechodzenie od zabawy do nauki. W najwyższej klasie szkółki, tej w której dzieci przeważnie mają około 7 lat, zaczyna się im opowiadać o historji, geografji i t. d., przyczem i tu sposób nauczania przypomina jeszcze zabawę, bo dzieci rysują rzeki, o których się im opowiada, dziwne postacie praojców, jakieś bajkowe zwierzęta.

Pomimo absolutnej swobody nie zauważyliśmy żadnego bezładu; nauczycielki twierdzą, że z początkiem roku, gdy nowe dzieci stanowią większość, panuje przez krótki czas anarchja, która jednak szybko ustępuje miejsca radosnej harmonji aktywności. Dzieci są zajęte, zadowolone i wesołe. Poza nauką, jeżeli tak nazwać można te wszystkie zajmujące je gry, mają one jeszcze inne obowiązki, które jednak również traktują jak zabawy. Otóż co tydzień wybierają pomiędzy sobą dziewczynkę lub chłopaczka, który dbać musi o porządek w klasie; inne dziecko o porządek w szafach, inne w kuchence. Bo obok klas istnieje mała kuchenka, mniejsza niż dla dorosłych, a większa niż dla lalek, w której dzieci przyrządzają drugie śniadanie. I tu obowiązki są podzielone, a kuchenka utrzymana jest we wzorowym porządku.

Cóż powiedzieć o systemie nauczania *Montessori?* Inni na łamach fachowych pism mówili i mówią o wadach i zaletach tego systemu, my widzieliśmy tylko szkółkę liczącą stodwadzieścia szczęśliwych dzieciaków, któremi kieruje całkowicie przejęta zadaniem *mademoiselle Bonne.* I nazwisko to pozostaje nam w pamięci jako symbol tej szkoły, bo poza systemem, poza metodą, widzieliśmy że króluje tam przedewszystkiem zrozumienie i dobroć.

Zofja Kramsztyk (Paryż)

CZEREŚNIE

...A że się kwiecień uśmiechnął wcześnie,
wcześniej niż zwykle kwitły czereśnie,
i gdy się rankiem schodziło w sady,
zdało się czasem, że wypadł śnieg:
kwiat delikatny, różowo-blady,
na cierpkiej zimy ostatnie ślady
białą wonnością puszyście legł.

Rankiem się jeszcze słał opar siny,
jeszcze nie kwitły pierwsze jaśminy.
Lecz już, pod słońce pieszczotną strugą,
pęczniały pączki perskiego bzu:
wtedy, znużona tą zimą długą,
szła do ogrodu panna Loulou:
biedna —
chora —
panna Loulou.

Gdy już na dobre rozkwitły trześnie,
szła alejami — cicho — jak we śnie.
I gdy się z okna pojrzało w sady,
zdało się czasem, że pada śnieg:
deszcz płatków gęsty, różowo-blady,
na chorej panny samotne ślady
świeżą wonnością puszyście legł.

Wysmukłą zjawę bladej dziewczyny
opary stroją w zwiewne muśliny;
nie topniejący śnieg czereśniany
chciał ją upoić wonią do snu.
I tak — wspomnienie złudne Goplany —
szła przez aleje panna Loulou:
biedna —
chora —
panna Loulou.

A gdy wiosenne przekwitły kwiaty,
słońce przywdziało złote szkarłaty.
Straszne, wielmożne czerwcowe słońce
w żartkiej pieszczocie nękało świat;
wieczorem tylko, w skwarnych dni końce,
roztulał płatki nieśmiały kwiat.

I najpóźniejszych gatunków trześnie
owego roku dojrzały wcześnie.
Jędrne, soczyste, krwawe jagody
coraz wytrysły to tam to tu:
w biczach korali stały ogrody...
I pytał owoc czereśni młody:
— A kędyż teraz panna Loulou?
biedna —
chora —
panna Loulou.

Kto wie! — Czy może piękny kochanek
bladej dziewczynie dał ślubny wianek?
Czy może, smutna, kocha się w zimie
i tam odeszła, gdzie wieczny śnieg?
Ktoś tu na korze wyciął jej imię,
ktoś o niej pisał w płaczącym rymie,
ktoś jej wspomnienia zazdrośnie strzegł:

„Wśród twoich klombów kwietnej mozajki,
o ty dziewczyno z zagasłej bajki,
szukam wspomnienia twego... W altanie
z poprzeplatanych gałązek bzu
wyjdź dziś, jak ongi, na me spotkanie...
O biada! z echem wraca pytanie:
— A gdzież jest teraz panna Loulou?
biedna —
chora —
panna Loulou?“

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

KOBIETA W AMERYCE

PRZEDEWSZYSTKIEM aby pisać o kobiecie w Ameryce, musimy na wstępie zaznaczyć, o której piszemy w danej chwili. Czy o twardej, nieugiętej, na męską modłę zakrojonej kobiecie z Północy, czy o zmysłowej, ognistej, czarnookiej i leniwej kobiecie z Południa.

Są to typy tak odmienne i tak krańcowo różne, że nawet ogólnie przyjęte krótkie włosy „à la garçonne" i sukienki kończące się dobrze ponad kolanami nie potrafiły stworzyć jednolitego typu nowoczesnej „panamerykanki" ubranej podług ostatnich wymagań mody New-Yorku, Rio de Janeiro czy Paryża.

Nie piszę o rodowitych Indjankach. O nie! kruczowłosa, miedziana „squaw" i dziś jeszcze, jak przed wiekami, chodzi w rodowitym stroju swojego plemienia, a więc: czasem nawet, jak dzieje się to w niektórych częściach Ameryki Południowej, bez żadnego stroju wogóle, ciężko i wytrwale pracując dla swojego męża i władcy, towarzysząc mu na łowy, rodząc dzieci i strzegąc „wigwamu".

Indjanka z nad brzegów Amazonki nie wiele się różni od czerwonej swej siostry z nad mroźnego Yukonu, chyba tem, że ta ostatnia owija się przed zimnem w drogocenne futra, a zgrabne jej nóżki, obute w łosiowe, wyszywane mokasyny, przemierzyły już na nartach niejednokrotnie śnieżne, zamarłe stepy, rozświetlone blaskami polarnej zorzy.

Ale biała kobieta z Ameryki Północnej, najczęściej pochodzenia anglosaskiego, niepodobna jest w niczem do kruczowłosej siostry z okolic równika, dumnej ze swych hiszpańskich przodków, owych awanturniczych „conquistadorów", którzy zdobywali Amerykę niosąc krzyż w jednej ręce a miecz i ogień w drugiej.

Nie zamierzam pisać uczonej rozprawy o amerykańskim feminizmie; pragnę tylko podzielić się wrażeniami, jakie odniosłam z pobytu w Kanadzie, Kalifornji, Ameryce Centralnej i Peru.

Weźmy więc naprzód Kanadę. — Przedewszystkiem mamy tu do czynienia z odrębnym zupełnie typem kobiety ze wsi, tak zwanej farmerki, a kobiety z miasta: beztroskiej rentjerki, businesswoman (pracującej w interesie), misjonarki, działaczki, czy owej ogólnie ośmieszanej „flapper", odpowiadającej poniekąd naszemu pojęciu chłopczycy, z tą zasadniczą różnicą, że Amerykanka nie myśli wcale o przeistoczeniu się zupełnem na „kolegę", ale wprost przeciwnie, zależy jej niesłychanie na tem, aby w gronie kolegów być najbardziej pożądaną, rozrywaną i obsypywaną podarkami „koleżanką".

Nie przeszkadza jej to upijać się nazabój z trudem przemycanemi likierami, malować twarz wyzywająco, spędzać wszystkie noce w klubie lub dancingu, ćmiąc opjumowane papierosy z długich fajeczek, tańczyć najdzikszego charlestona, lub jakieś inne „ad hoc" improwizowane tańce.

Rano nawpół przytomną odwozi swoim autem, wybrany z grona zazdrosnych wielbicieli, chwilowy „boy-friend" (przyjaciel), uwożący ją w zawrotnym pędzie do przytulnego bungalowu, gdzie bardzo często matka-staruszka ze łzami w oczach oczekuje powrotu dziewczyny.

Dla tego typu dziewcząt matka jest nietylko bezużytecznym gratem, ale bezsilnym i pobitym wrogiem, z którego pokpiwa niemiłosiernie.

Boy-friend umawiając się z córką na całonocny dancing, całuje ją na pożegnanie, a obecnej przy tem matce skinie tylko protekcjonalnie ręką, wołając „hallo".

Naturalnie istnieją matki, które nie dają się córeczkom pobić. I one mają swoich wielbicieli-przyjaciół, i one spędzają noce na dancingach, jako rywalki swoich pociech, a papa, najczęściej bogaty „businessman", pogrążony po uszy w kombinacjach giełdowych i w rachunkach, nie zwraca na stosunki domowe najmniejszej uwagi.

Zresztą muszę zaznaczyć przedewszystkiem i to, że w Ameryce kobieta jest królową. Jej wszystko wolno, dla niej mąż zamienia się w mechaniczny automat, pracujący od świtu do późnej nocy, na ulicy nikt kobiety nie śmie zaczepić, bo na pierwsze skinięcie jej paluszka, oprócz groźnych policjantów, stanie odrazu przy niej jak mur legjon rycerzy gotowych do zboksowania niefortunnego śmiałka.

Kobieta jest osią około której kręci się wszystko, wszędzie i zawsze może liczyć na pomoc, usługę i męską opiekę.

Wystrzegajmy się jednak uogólnień. Nie można twierdzić, że wszystkie amerykańskie dziewczęta są w typie owych „flappers", o których przed chwilą pisałam.

Jeśli przyszły mi pierwsze na myśl, to dlatego, że one przedewszystkiem rzucają się cudzoziemcowi w oczy.

Spotykamy je na statku, porozkładane na kanapach z nogami na poręczy, oklepywane przez danserów na poobiednich dancingach, całujące zapamiętale i z bezprzykładną cierpliwością swoich wybrańców na dziobie okrętu, pod palącemi promieniami słońca, a wkońcu one to potrafią w pociągu i parę godzin przesiedzieć na kolanach dopiero co poznanego towarzysza podróży, dając wszystkim pasażerom (musimy pamiętać że w pociągach amerykańskich istnieje tylko jeden wspólny przedział) poglądową lekcję całowania.

Nawet wesoły Paryż ze swojemi romantycznemi parkami jest skromny i wstydliwy, w porównaniu do obrazków widywanych w kraju, szczycącym się swoją pruderją. A nie zapominajmy, że wesoła „flapper" jest zazwyczaj dziewczyną z dobrego domu, a jej ojciec zajmuje nieraz wybitne stanowisko.

Zupełnie innym typem jest amerykańska sportsmenka. — Mięśnie ma hartowne jak stal, zasady granitowe, a wszystkie wolne chwile spędza na powietrzu, oddając się z niesłychanym zapałem ćwiczeniom fizycznym. — Walczy z mężczyzną o pierwszeństwo czy to jako pływaczka, czy jako śmiała lotniczka szybująca zuchwale nad groźnemi falami Oceanu, czy też z rakietą w ręku na korcie tenisowym, lub na terenie golfu.

Są to przeważnie zamożne dziewczęta, które mogą poświęcać ulubionym sportom bardzo wiele czasu, otoczone ogólną sympatją, albowiem dla Amerykanina zwycięzca na polu sportowem jest bożyszczem, na którego widok całkiem poprostu odchodzi od zmysłów.

Zupełnie odrębne stanowisko zajmuje w kraju dolara i ołówka fanatyczna misjonarka którejkolwiek z licznych sekt protestanckich. Są to prawdziwe bohaterki, bo pomyślcie piękne panie! potrafią one, w najbardziej niemodnych i nietwarzowych strojach, snuć się po mieście w dnie świąteczne, wyśpiewując na rogach ulic psalmy i płacząc nad grzechami świata.

Kańciasta, nieugięta działaczka społeczna zawsze prawie żelazną zaiste wolą przeprowadzi swe zamiary, a odkąd doprowadziła do wydania prawa o prohibicji, stała się postrachem wesołych mieszkańców Nowego Świata. Musimy jednak przyznać, że położyła ona na polu społecznem zasługi naprawdę nieocenione, a jej zdolności organizacyjne, inicjatywa i wytrwałość zaważyły przemożnie na szali kształtowania się stosunków w państwach Północnej Ameryki.

Bardzo powszedniem zjawiskiem jest kobieta zajmująca samodzielne stanowisko w interesie. Widzimy ją na czele jakiejś spółki, czasem w roli dyrektora banku, często prowadzi roboty jako naczelny inżynier, lub jest osią i duchem ogromnych przedsiębiorstw, prowadzonych z amerykańskim rozmachem. (Dok. n.)

Marja Bochdan-Niedenthal

F L I R T

TROCHĘ przebrzmiałe, trochę niemodne słowo. Właściwie, nie bardzo już wiemy co oznacza. Przerośliśmy epokę, w której wystarczało to słabe, anemiczne, dzwoniące tanim szychem, salonowe, balowe słowo. Lecz jeżeli nawet usłyszymy jeszcze od czasu do czasu jego dźwięk: co innego, niż dawniej, kryje się pod starą, spłowiałą maseczką, inna, jaskrawsza kryje się treść, realniejsze wykwitają kształty. Nasz flirt, w epoce szaleńczego oddechu życia, zdąża śmiało do celu, walczy bronią szorstkiej szczerości, zuchwałego samopotępienia, szerokiego przyznania się do winy, ale do winy bez żalu, bez postanowienia poprawy: do winy pragnienia, i pożądania, i posiadania. Do winy człowieka. Gdzieś zbladł i rozwiał się ów nieśmiały, nieszczery flirt naszych babek, wybłyskujący trwożliwym uśmieszkiem z pomiędzy nigdy nie całowanych, czekających ustek, nad któremi trzepotały się wstydliwie białe skrzydła dziewczęcego wachlarzyka.



Ów flirt sentymentalny, ów bezkrytyczny, biedny ptaszek, lecący w twarde, nieuważne ręce, chciwie doń wyciągnięte, ręce doświadczone i dławiące. Flirt ów bowiem, w epoce w której powstał, w której został rozpoznany i nazwany, był walką, czy też zabawką lub groteską, o nierównej nietylko treści, lecz na nierównych opartą siłach. Ze strony doświadczonego mężczyzny wesołą przygodą, podniecającą przystawką do prawdziwszej uczty, małą praktyczną przerwą w wielkiej nudzie, lub w ostateczności popisem retorycznym wspaniałych, ale zato pustych słów; tanią wycieczką po pocałunki, niczem istotnem, wszystkiem czem można i musi się kobietę obrazić i zlekceważyć. Ze strony zaś kobiety, jakże często pierwszem wzruszeniem, pierwszem obudzeniem się tęsknot miłosnych, pierwszym niespokojnym głosem zmysłów, podświadomym, ślepym w swojej bezsile i tem bardziej niebezpiecznym dla serca, które zbyt naiwne, nie umiało rozpoznać błyskotliwej plewy zręcznych słów od istotnych wartości, które je później czekały w życiu. Stąd pomyłki, stąd fałszywe i ciasne pojęcie flirtu. Lecz tak było zawsze.



Oto czem był flirt. Lecz z winy Jej właśnie, tej kobiety, tu i ówdzie tak melancholijnie wspominanej, a tak bardzo naiwnej, niewybrednej i płytkiej w swojej wstydliwości i bezgrzeszności, w swoim braku inicjatywy i samodzielności. Jakże smutnym i upokarzającym był ów flirt salonowy, w którym kobieta tak często wychodziła naprzeciw, niosąc w niepokalanych dłoniach swe serce, swe spragnione miłości, ufne serce, owinięte obłoczkiem uśmiechu i marzenia; otrzymywała zaś wzamian plewę znudzonych spojrzeń, lub w najlepszym razie jałmużnę małego zainteresowania, pozbawionego krwi i niepokoju. Boję się, że może zbyt surowo demaskuję biedny, dawny flirt, lecz nie mogę nie porównać go do kieliszka cocktailu, wypitego w salonie dla kurażu, po którym tak było przyjemnie pójść sobie tu i tam, dla prawdziwszego przeżycia, do tętniącej krwią i prawdą miłości.

Na szczęście flirt się zmienił. Zmieniła go kobieta. Pogardliwym gestem strzepała zeń pył pruderji, zamieniła na obopólną grę, grę równego z równym, w której trzeba się mieć na baczności i być czujnym.

Przestał być prologiem, stał się akcją główną, w której aktorzy mierzą swe siły. Oczywiście, jest nadal bardzo trudno określić istotę flirtu. W niesłychanem naszem wyrafinowaniu, w przedziwnej finezji naszych wymagań i odczuwań, przy najwyższem wysubtelnieniu naszych zmysłów, flirt stać się musiał jedną z kulturalnych, choć może trochę perwersyjnych konieczności życiowych, jak sport i taniec; stał się probierzem naszych możliwości intelektualnych i fizycznych.

Przedszkole — że się tak może cynicznie wyrażę. Lecz przedszkole śmiałe, śmiałego, dzisiejszego człowieka. Nie mężczyzny, nie kobiety, lecz człowieka o równych prawach i równej swobodzie czynu. Mężczyzna przestał w swej łaskawości lekceważyć pannę z towarzystwa, którą można było obdarzać dobrodziejstwem flirtu w wolnych od gorętszych przeżyć chwilach, i zainteresował się swoim własnym w stosunku do niej niepokojem. Spotkał bowiem nieoczekiwanie (gdyż ewolucja nastąpiła w tem samem jeszcze pokoleniu!) — zamiast gotowego do nabycia a przeznaczonego już w kolebce na ten legalny stół kąska dziewczęciny, plus posag dla spłacenia kawalerskich długów — kobietę, świadomą swojej wolności, a więc niebezpieczną i niepewną. Dyżury tedy salonowego flirtu okazały się za ubogie, zaczęły coraz częściej wybiegać poza ramy sal balowych, zmieniły barwę, formę i treść, pozostawiając sobie na pamiątkę tylko tradycyjne imię. Czy jest zatem nowoczesny flirt zabawką, zabawą lub sportem; czy wolimy powiedzieć o nim wiele złego, czy bronić go zaciekle: wszystko jedno. Jest w każdym razie pojedynkiem dwóch godnych siebie, wolnych przeciwników, a nie polowaniem (z nagonką!) na zająca. W tej grze mistrzem staje się kobieta. Przestała trwożnie i z biciem serca oczekiwać łaski zaliczenia jej przez mężczyznę w poczet świętych. Zdejmując ze swojej główki, umęczonej aureolą niewinności, ów nimb fałszywy, stała się istotą z krwi i kości, istotą podlegającą wszystkim słabościom człowieka. Lecz właśnie dlatego i przez to uprawnioną do wyłącznej miłości mężczyzny, do jego tkliwych i nieustannych zabiegów o to bezcenne, niepodzielne dobro, jakiem jest miłość dobrowolna, nie narzucona, miłość kobiety, którą w każdej chwili utracić można bezpowrotnie. *Janina Kilian Stanisławska*

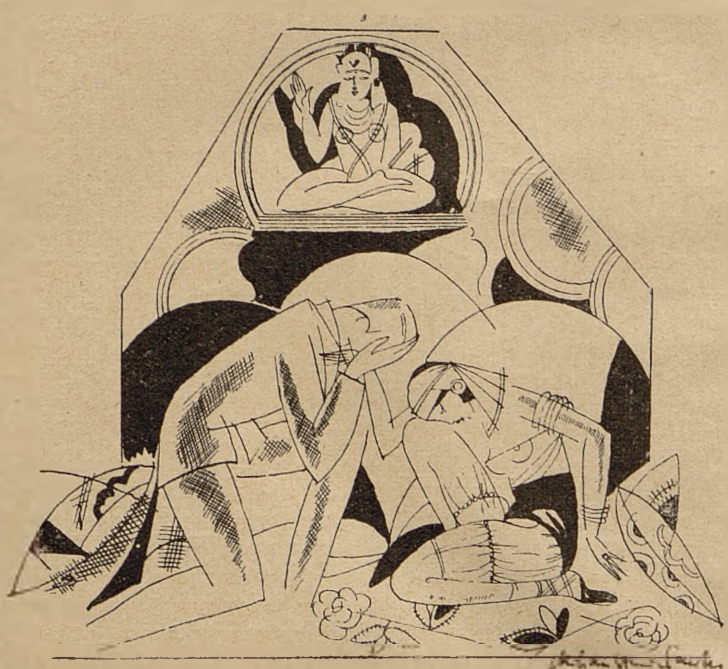
CUDZOZIEMIEC schował różę na piersi w miejscu, gdzie biło jego wzburzone serce. I z pod ściągniętych brwi patrzył długo na milczący jak grób dom Mohammeda ben Ali.

— — — — — — — — — — — — —

Rano znalazł na tarasie skrawek sztywnego papieru o brzegach dzierganych złotą nicią: „Przekup Murzynkę w zielonym zawoju".

Pobiegł na ulicę jubilerów i kupił złotą grubą bransoletę i naszyjnik z cekinów, a w sklepie z jedwabiami wybrał sztukę szafirowego brokatu. I gdy koło południa na sąsiednim tarasie zjawiła się Murzynka w zielonym zawoju, rzucił jej dary i krótki list do Fatmy: „Muszę Cię widzieć, gazello, Fatmo moja!"

Murzynka wyszczerzyła w radosnym uśmiechu wspaniałe jak kły dzikiego zwierza zęby i znikła.



Lecz o zachodzie słońca i o zmierzchu taras był pusty. Na szafirowem niebie zapaliły się gwiazdy, zajaśniał wspaniały księżyc, a Rumi tęsknił i czekał wciąż na próżno. Spędził noc przy biurku zarzuconym stosem rękopisów, patrząc na przywiędłą już czerwoną różę i leżącą obok niej zdobną rubinami „rękę Fatmy". I jego cienkie nerwowe palce pieściły w miłosnej zadumie misterny kształt ze złotego filigranu. Przecież Fatma-Marzenie miała także takie złotawe, drobne paluszki i jej owalne, malowane henną paznokcie podobne były do rubinów...

O świcie wybiegł na taras i przechylił się, patrząc w dół na uliczkę. Przed domem Sidi Mohammeda stał piękny, lśniący muł, osiodłany do podróży. Szafranowy czaprak lśnił srebrem i fioletem wymyślnych haftów, a czarny sługa w białym turbanie trzymał uzdę bogato złoconą.

Jasnowłosy Rumi zamknął oczy i pomyślał z drżeniem, że dziś zobaczy Fatmę o purpurowym zachodzie słońca, kiedy na biały Fez spływa z minaretów przeciągła, pokorna pieśń ku czci Allacha.

Ale Fatma nie przyszła. Zabroniono jej wychodzić na taras. Pilnie strzeżona, leżała na stubarwnych poduszkach posłania i cicho płakała z tęsknoty.

— — — — — — — — — — — — —

Dopiero na trzeci dzień po wyjeździe Mohammeda ben Ali niewolnica w zielonym zawoju rzuciła na taras cudzoziemca maleńką, złotą nicią dzierganą karteczkę.

I jasnowłosy Rumi biegał po swych pokojach pełnych kwiatów i kobierców z sercem ściśniętem trwogą, że Fatma znów mimo obietnicy nie wyjdzie na taras, i że znów dziś nie zobaczy jej trwożnego uśmiechu, jej rączek bezbronnych i jakby zbolałych od nadmiaru bransolet i pierścieni.

Czekał omdlewając niemal z trwogi i niepewności. By ukryć się przed wzrokiem kobiet z sąsiednich dachów, usiadł na wąskich schodkach z mozaiki, wiodących z dolnych pokoi na taras i co chwila wstawał, szukając złotego hantuza wyostrzonemi tęsknotą oczami.

I czekał na próżno. Nad miastem przewiał ekstatyczny śpiew muezzina. Słońce zgasło w łunie z purpury i fioletu. Zapadł zmierzch, ten czarowny jak uśmiech pięknej i smutnej kobiety zmierzch afrykański, nasycony przepychem gasnących barw i świateł, wonią gdzieś blisko kwitnących jaśminów, palącym żarem dnia który umarł i rozkoszną świeżością srebrnej nocy, która miała nadejść. Cudzoziemiec ukrył twarz w dłoniach i płakał.

I nagle usłyszał głos. Bliski, nabrzmiały łzami, cichy, ciepły i pokorny. Z niedowierzaniem podniósł głowę i zobaczył coś, co miało pozory szaleństwa, snu, halucynacji. Ponad czarną przepaścią, dzielącą dwa tarasy, wionął kobiecy kształt, utkany ze złota, bieli i purpury. Rumi krzyknął z trwogi i olśnił go blask, odurzył zapach tak bliski i tak podobny do zuchwałego marzenia, że zamknął oczy, by się nie obudzić.

Klęczała przed nim na wąskich, ciasnych schodach i pytała trwożnie:

— Ty płaczesz? Och, dlaczego, dlaczego ty płaczesz, Rumi mój, dlaczego?

I uwierzył dopiero wówczas, gdy z niewysłowioną czułością dotknęła jego rąk i mokrych policzków.

— To ty, Fatmo — jęknął skroś szloch i uśmiech szczęścia, w które tak trudno było uwierzyć.

Nieśmiało otulił ją ramionami.

— Jak mogłaś? Takie szaleństwo... Mogłaś przecie spaść w przepaść i zabić się... Marzenie moje... A jeżeli w domu u ciebie zobaczą? Och, Fatmo — — —

Potrząsnęła głową, patrząc mu w oczy przez łzy i wciąż dotykając leciutko jego włosów, których jasność czarowała ją jak słońce.

— Nikt nie zobaczy — szeptała z ustami przy jego policzku, klęcząc wciąż z miłosną pokorą. — Dałam wszystkim haszyszu w ciastkach z miodem. Wszystkim — matce, ciotkom i niewolnicom. Śmiały się jak pijane, a teraz śpią. Przyszłam powiedzieć ci, Rumi, że już cię pewnie nigdy nie zobaczę. Niedługo Sidi Mohammed wywiezie mnie stąd do swego domu w Meknes. Od dnia, w którym zobaczył ciebie, jest zły jak tygrys. Może dlatego, że uciekam przed nim i płaczę? Nie wiem. Jakżebym mogła wyjechać i nie powiedzieć ci, że zawsze myślę o tobie, płacząc?

Nie wiedząc co czyni, zniósł ją po schodach do zalanego księżycowym blaskiem pokoju i posadził jak dziecko na stosie leżących na dywanie poduszek. Ukląkł i oparł czoło o jej zimne, jak rzeźbą lśniące klejnotami ręce.

Westchnął cicho z nadmiaru szczęścia. Nie myślał o niczem. Przed chwilą jeszcze wiedział, że czeka go czarne, wrogie jutro, gdy jej już nie będzie, ale już o tem zapomniał. Czyżby w sztywnych fałdach swoich szat hieratycznych, w czarnem bogactwie włosów, w purpurowych konchach dłoni malowanych henną przyniosła mu także usypiającą, najsłodszą niepamięć haszyszu?

Wyjął z płaskich ciżemek jej stopy, jej maleńkie, barwione henną stopy o purpurowych paznokciach i przegubach dźwięczących obręczami ze złota i ucałował je ostrożnie.

Zapytała z zawstydzoną pokorą:

— Jak możesz? Czy wszyscy Rumi o jasnych włosach całują nogi kobiet?

Potrząsnął przecząco głową, pijąc szeroko otwartemi

oczami srebrną bladość jej twarzy najpiękniejszej, szkarłatną linję jej warg tak dziecięco na śnieżnych zębach półrozwartych. Delikatnie i ostrożnie ujął jej rękę i długo patrzył na jej kształt wytworny, wyrzeźbiony stuleciami lenistwa, wypieszczony dotykiem aksamitów i jedwabi, przesycony blaskiem klejnotów.

— Ręka Fatmy — powiedział cicho, tuląc chłodną dłoń do powiek.

Odszukał na biurku leżący obok róży klejnot i położył go na tej dłoni maleńkiej. Pochyliła głowę i zawołała z zachwytem:

— „Ręka Fatmy"! Jaka piękna...

Poprosił nieśmiało jak o łaskę:

— O gdybyś chciała ją zachować... Byłbym mniej nieszczęśliwy, nie widząc ciebie... Wiedziałbym, że dotykasz przedmiotu, który tuliłem do ust i do serca, łudząc się, że to twoja ręka...

Zacisnęła mocno rączkę i rozwarłszy ją, ucałowała klejnot tak, jak niedawno na tarasie ucałowała gwoździk. Ale w oczach jej odmalowało się przerażenie.

— Jeżeli lękasz się, że ktoś może zobaczyć u ciebie ten drobiazg, zostaw go, Fatmo — szepnął z żalem,

Obejrzała się dokoła ze strachem. Na jej białem czole rysował się między brwiami w blasku księżyca tajemniczy tatuowany znak. Dotknęła przelotnie zawieszonego między strzelistym kształtem młodziutkich piersi talizmanu i z zamkniętemi oczami wyszeptała magiczne zaklęcie.

— Fatmo... Może lękasz się? — zapytał trwożnie, ujmując w obie ręce jej głowę tak cudownie piękną i tak królewską w złotej tiarze hantuza.

Uśmiechnęła się z jakimś bolesnym patosem, wsunęła klejnot za swój ciężki złoty pas i bez słowa padła jak kwiat na pierś mężczyzny.

— — — — — — — — — — — — —

— Wykradnę ją i uciekniemy do Andaluzji, czy na Sycylję — postanowił nazajutrz i już po chwili miał w mózgu gotowy trzeźwy plan tego niebezpiecznego szaleństwa.

Chodząc po pokojach śpiewał pełnym, młodzieńczym głosem i recytował wiersze. Miał znów dwadzieścia lat i cały świat pełen oszałamiających niespodzianek i zawrotnych możliwości należał do niego. Jego krew, uśpiona przytłaczającą brzydotą wczorajszej rzeczywistości i wytężającą pracą umysłową, zaśpiewała mu żyłach wspaniałą upajającą pieśń namiętności, siły i zachłannej żądzy życia.

Siedział przy biurku i pisał. Z pod jego pióra tryskały strofy giętkie i lśniące, jak klinga damasceńska, bogato i misternie rzeźbiona, jak najwytworniejsze arabeski starożytnego meczetu.

Znów wstawał, śpiewał, całował róże, których całe pęki przynosił mu co rano z targu służący, dotykał złotych kwiatów sztywnej sukni oblubienicy arabskiej i ponsowych ciżemek z safjanu, czekających cierpliwie na małe nóżki, nóżki malowane błękitem żyłek i zalotną purpurą henny.

Po raz setny wbiegał na mozaikowe schody wiodące na taras i wracał, pamiętny na ostatnią przestrogę Fatmy, aby przez parę dni nie pokazywał się zupełnie.

Był szczęśliwy tą straszliwie rozkoszną, aż bolesną pełnią szczęścia, dla której mózg, pierś i serce zdają się być za ciasne i która każe cicho krzyczeć z zamkniętemi w patetycznej ekstazie oczami jedno imię i płakać skróś śmiech zachwytu i upojenia, graniczącego z szaleństwem.

— — — — — — — — — — — — —

Kupił szary płaszczyk podróżny, zdobny skórą antylopy, szarą prześliczną czapeczkę skórzaną, szare pantofelki i szare pończochy, jakby utkane z jedwabnego zmierzchu. I szary, długi woal, którym będzie się bawił wiatr w szalonym pędzie samochodu i słony, potężny powiew zielonego oceanu.

Na szarej torebce ze skóry węża kazał wybić złotą literę F. i pierwszą literę swego nazwiska. Wszak pojedzie w daleki, cudownie piękny świat ze swoją cudownie piękną żoną. — Z jaką dumą powie kukłom, marjonetkom i pajacom, od których uciekł z goryczą i pogardą:

„Oto moja żona. Trwożna gazella, którą zuchwale wydarłem ze szponów jaguara. Umie tylko kilka wersetów z Koranu. Nie wie kim był Szekspir i kim jest Poiret. Jest cudownym kwiatem prastarej kultury, który wykwitł za grubemi murami błogosławionych przesądów, za zakratowanemi okienkami wielkich i niewzruszonych tradycyj. Jest różą niepokalanej świeżości, z której palący płomień naszej chorej cywilizacji nie spił brylantowej świeżości porannej rosy. Należy do rasy kobiet, którym surowy obyczaj i mądry nakaz religji każą być piękną tylko dla męża, we wnętrzu pełnego słońca i śmiechu dzieci domu, a białem, bezkształtnem i trwożnem widmem dla obcego przechodnia. I dlatego to ona jest KOBIETĄ, czarownym symbolem Miłości, podczas gdy wy, które posiada wzrokiem każdy pijany szofer — jesteście tej przecudnej kobiecości brzydkiem i skalanem zaprzeczeniem. Wy z waszej „wolności" uczyniłyście płaską karykaturę, a ona ze swej „niewoli" — poemat. Dla was małżeństwo jest przeważnie bezecnym targiem, a macierzyństwo śmiesznym przesądem, a dla niej przed dziesięcioma stuleciami były one i są jedynym uśmiechem, pięknem i treścią życia.

Czy jest między wami wiele kobiet, które narażając się na cios sztyletu w serce, ostrzegłyby najdroższego o grożącem mu niebezpieczeństwie? które skoczyłyby nad przepaścią, by wyszeptać ukochanemu: „Przyszłam, by powiedzieć, że zawsze myśląc o tobie, płaczę"? I czy są jeszcze między wami istoty, które podając wybranemu usta *nigdy nie całowane*, bledną śmiertelnie i cichutko dziecinnie płacząc, mają szeroko rozwarte oczy, jaśniejące ekstatycznem uniesieniem w obliczu Miłości, jak w obliczu bóstwa?"

Roześmiał się głośno i srebrzyście jak efeb. Ucałował smugę słońca, która padła właśnie na to miejsce, gdzie wczoraj spoczęły safianowe ciżemki Fatmy. I zmęczony nadmiarem szczęścia upadł na sofę i zasnął.

— — — — — — — — — — — — —

Minęło dwa dni i w nocy ktoś mocno zakołatał do bramy.

Cudzoziemiec uprzedził służącego i zbiegł na dół ze śpiesznie zapaloną latarnią. Jego kroki budziły w całym pustym domu głuche, posępne echo.

— Telegram z kraju? — zadał sobie pytanie i z trudem odsunął ciężkie, żelazne rygle.

I gdy uchylił bramę, ktoś niewidzialny, ukryty w ciemnościach ulicy, rzucił mu w milczeniu pod nogi coś owiniętego w płat czerwonego jedwabiu i oddalił się cicho, jak widmo.

— Może list od Fatmy, pomyślał z mocno bijącem sercem i pobiegł na górę.

Na biurku płonęła jasno lampa w arabskim kloszu z kolorowych szkieł. Olbrzymie pęki białych róż pachniały słodko i obiecująco w cyzelowanych mosiężnych wazach. Ślubna suknia w złote kwiaty czekała na oblubienicę, miękko rzucona na ciemny kobierzec niskiej sofy.

Zważył w dłoni ciężar tajemniczego daru, który mu przyniosła ta czarna głucho milcząca noc. Tak, w tym szkarłatnym jedw.biu było na pewno coś więcej, niż list. Może kwiaty, które spały na sercu Fatmy?

Rozwijał szkarłatny jedwab powoli, i pieściwie, miłośnie, choć ręce mu drżały niecierpliwie. I nagle palce jego zesztywniały, oczy zaokrągliły się w orbitach ze zgrozy i stały się podobne do oczu szaleńca. Pochylił się gwałtownie, jak pchnięty z tyłu skrytobójczym sztyletem mordercy, i z jego krtani wydarł się krótki, chrapliwy ryk.

Na czerwonym jedwabiu leżała blada ręka Fatmy. Nieżywe palce zacisnęły się kurczowo dokoła czegoś, z czem nie chciały rozstać się nawet po śmierci.

W pobladłej konsze natartej henną dłoni lśnił klejnot ze złotego filigranu i rubinów, zwany „ręką Fatmy".

Mèhèdya (Marokko) 1928 *Helena Filochowska*

BRONISŁAWA OSTROWSKA (EDMA MIERZ). Odeszła od nas Ostrowska w czas woni bzów i sadów kwitnienia. I zdaje mi się, że nie mogła odejść w czas inny. Jedyne wspomnienie jej, jakie mi z dziecinnych lat zostało, związane jest z rozkwitłym majem. A dziwne, że w tem wspomnieniu zjawia mi się taka, jaką dziś ją w życiu całem i twórczości widzę.

Jechałyśmy nocą tatarskim szlakiem, obok glinianskich kurhanów, i odczułam wówczas jej serdeczne, gorące, z ową ziemią zespolenie, które pozwalało jej przeszłość przybliżać i czynić ją niemal dotykalną dla siebie i dla innych. I nazajutrz ją widzę, radującą się bielą sadów obok starego dworu i rozciągłością zadwórzańskich łanów, widzianych ze wzgórza, zadumaną nad urwiskiem historycznej „Krwawicy", a zarazem serdecznie pochyloną nad ciekawością moich dziecięcych oczu. Uderzyło mię już wówczas owo zupełne współżycie z ziemią ojczystą, fanatyczne umiłowanie kwiatów, promieni, klejnotnych błysków i zrozumienie dziecięcej duszy.

Opowiadano o niej na wsi, że w jej obecność duchy budzą się w starym dworze i z kwiatów promienie wychodzą. Była to większa prawda niż się opowiadającym zdawało. Sama jej obecność zamieniała bowiem rzeczywistość codzienną w bajkę, dawała głos rzeczom niemym. Nie mówmy dziś że umarła, bo nigdy zupełnie do naszego świata nie należała; jak ludzie naznaczeni piętnem poezji, była pośredniczką między światem widzialnym a światem niewidzialnym, przez nią ku nam przypływał strumień najczystszej, oderwanej poezji, od nas ku zaświatom wołała przez jej usta zaduma i tęsknota. I jeśli mi się później jej zewnętrzna zjawa związała ze zjawą maeterlinckowskich bohaterek, widać była w niej ta sama cecha współżycia tajemnego z naturą. Lecz że wyrosła z polskiej gleby, nie była jak tamte, bezwolnem narzędziem ślepych sił, lecz element czynu tkwił w niej zawsze i rozwijał się, czy to w głębokiem ujęciu obowiązków wychowawczyni-matki, czy w zrozumieniu społecznej roli literatury zwłaszcza dziecięcej, w umiłowaniu godności pracy, aż tak cudownie rozkwitł na wygnaniu w Charkowie, gdzie jej akcja społeczna i narodowa zatoczyła szerokie kręgi w gimnazjum polskiem, w organizacjach skautowych, w komitetach dobroczynnych.

Poezja jej nigdy nie była rzemiosłem, lecz koniecznością życiową, bezpośredniem tłumaczeniem na język piękna wzruszeń duszy, marzeń i cichych bolów, radości macierzyńskich, w formie zawsze doskonałej, czy to obrała strofy ściśle zbudowane, czy rozlewność wolnego wiersza, którego melodyjność i czystość stawia ją obok największego mistrza francuskiego vers-libru, Viélé Griffina. Dziś poezja wszelka jest w niełasce, może nawet młodsze czytelniczki nie znają zgoła poezyj Ostrowskiej? Przeczuwam jednak, że gdy wezmą do ręki „Opale", „Liście jesienne", „Chusty ofiarne", „Poezje", „Aniołom dźwięku", „Pierścień życia", i inne, owładnie niemi zdziwienie nieznanych, silnych przeżyć, czar bezpośredniego zetknięcia się z pięknem. Dzieciom zaś długo „Miś bohaterski" opowiadać będzie swe wojenne przygody, zaś historja książki uczyć będzie szacunku dla ludzkiej pracy. Ostrowska długie lata przeżyła w Paryżu i ściśle związana jest z symbolicznym ruchem poetyckim francuskim, liczne jej tłumaczenia poetów francuskich nie są właściwie tłumaczeniami, ale twórczem, wtórnem przeżyciem, na tle którego tem silniej uwydatnia się głęboka oryginalność i indywidualność poetycka jej własnej tworczości.

Anna Ludwika Czerny

RUCH KOBIECY W NIEMCZECH. Świat jest niewyczerpaną księgą wiedzy dla tego kto uczyć się pragnie i z otwartemi oczyma wędruje przez obce kraje i obce miasta, wszędzie szukając tego czego jeszcze nie zna, nie widział, tego co tutaj, tutaj właśnie jest godne uwagi, zapoznania, naśladownictwa. Nie wolno zaś w tych poznawczych wędrówkach po świecie dać się kierować przez komunały i prawdy wytarte, nie wolno np. powtarzać za innymi, że Francja jest krajem najbardziej postępowym, że Berlin jest stolicą reakcji. Nie wolno zaś przedewszystkiem nam, kobietom, gdyż przy nieco bliższem zapoznaniu się ze stanem rzeczy musimy przyznać, że nasza ukochana Francja, nasz słoneczny Paryż jest pod względem praw kobiety jednym z najbardziej zacofanych kątów Europy. Dlaczego tak jest, że tak narazie być musi i że kobiecie francuskiej powoli otwierają się oczy, o tem pisano i mówiono bardzo wiele, pomimo to zawsze my, kobiety, dążyć będziemy w kierunku Paryża, bo stamtąd biją promienie piękna, sztuki, elegancji, mody, wesołości. Ale w chwili gdy chcemy poznać ruch wyzwoleńczy kobiet, gdy chcemy zapoznać się z możliwościami tego ruchu, jego potęgą i jego granicami, musimy spojrzeć w inną stronę. Nie można oczywiście ruchu kobiecego w Niemczech uważać za najbardziej miarodajny, kobiety krajów północnych, kobiety amerykańskie, australijskie, a ostatnio rosyjskie, wyprzedziły swe niemieckie siostry, ale dla nas oczywiście ciekawszem jest lub przynajmniej być powinno to co zdołały osiągnąć nasze tak bliskie sąsiadki i to w stosunkowo krótkim czasie. Bo jeżeli ruch kobiecy jest już dość dawnym zjawiskiem tutaj, to jednak rezultaty jego, pierwsze zwycięstwa kobiet, datują się odniedawna, rozpoczęły się już po wojnie, są zdobyczą republikańską. Współczesna kobieta niemiecka posiada pełnię praw politycznych, jest równouprawniona w prawie cywilnem, dopuszczona do wykonywania wszystkich zawodów, nie wyłączając sądownictwa.

Rzecz oczywista, że bardzo wiele z tych zdobyczy ruchu kobiecego jest tylko na papierze i że pole do pracy dla kierowniczek ruchu kobiecego pozostało bardzo wielkie, gdyż chodzi teraz właśnie o realizację postulatów, o zachowanie tego co się z takim trudem zdobyło. To też pomimo tego pozornego zwycięstwa związki kobiece nie straciły racji bytu i nadal starają się rozszerzyć pole swego działania. Wobec czynnego udziału kobiet w życiu ekonomicznem związki te są przeważnie zawodowe, łączą się jednak w jeden wielki Związek stowarzyszeń kobiecych, który występuje przeważnie w imieniu wszystkich innych związków i ma wobec tej ścisłej organizacji bardzo wielką potęgę. Do Związku stowarzyszeń kobiecych należy 77 stowarzyszeń kobiecych. Są to poczęści związki zawodowe, poczęści związki kobiece w oddzielnych państwach niemieckich, po części stowarzyszenia dobroczynne, społeczne. Niektóre z tych stowarzyszeń są też już związkiem kilku lub kilkunastu mniejszych stowarzyszeń, np. związek stowarzyszeń studenckich, związek klubów kobiecych i t. d. Związek wystawił kilka postulatów już na podstawie nowych praw kobiety i oczywiście że wszystkie należące do niego stowarzyszenia, a tem samem członkinie tych stowarzyszeń, dążą do przeprowadzenia tych postulatów, są zaś niemi równouprawnienie kobiety w łonie rodziny, usunięcie podwójnej moralności, równouprawnienie nieślubnych dzieci, usunięcie prawnie zorganizowanej prostytucji, faktyczne dopuszczenie kobiet do wszystkich zawodów, jednakowa płaca dla kobiet i dla mężczyzn. Związek dąży też naturalnie do coraz intensywniejszego udziału kobiet w życiu politycznem, obiecując sobie że wpływ kobiet na politykę kraju i zarząd miejski może być tylko dodatnim i w ogólnych dążeniach mniej zmaterjalizowanych kobiet i w ich dążeniach do popierania zdrowotności, higjeny i wszelkich dążeń pokojowych i społecznych.

Musimy jednak na zakończenie powiedzieć, że piersze kroki kobiet na arenie politycznej w Niemczech nie dały tych wyników, które się po nich spodziewano. Szerokie warstwy kobiet, nieuświadomionych politycznie, biorąc udział w wyborach, szły za głosem swych doradców, stały się narzędziem w ręku agitatorów politycznych, jednostki zaś wysunięte przez los na eksponowane stanowiska z małemi bardzo wyjątkami nie okazały szczególnych zdolności. Tłumaczy się to naturalnie brakiem wyszkolenia politycznego i społecznego i tutaj właśnie jest największe pole do działania dla kierowniczek ruchu kobiecego. Zdobywszy prawa i przywileje, należy wychować same kobiety, rozwijać ich samopoczucie, godność, zapoznawać je z życiem kraju i narodów, z zadaniami polityki i działalności społecznej. Że jednak moment zdobycia tych praw wypadł w chwili największego przemęczenia narodu niemieckiego, w chwili najgorszego rozpasania się powojennego, przewartościowania wartości i upadku wielu nadziei, więc i w szeregach kobiecych odczuć się daje pewna apatja, brak zainteresowania sprawami ogółu, a nawet wogóle czemkolwiek, co wychodzi poza obręb walki o byt i o rozkosze życia. Walka z tą falą zniechęcenia, nawoływanie do ciągłej i nieustannej walki o lepsze jutro ludzkości oto stała praca i wysiłek garstki kierowniczek nieustępliwych, którym należy się całe uznanie i jak najgłębszy szacunek.

Zofja Kramsztyk (Berlin)

CZY OSOBY PRACUJĄCE UMYSŁOWO WINNY ODDAWAĆ SIĘ SPORTOM? *„Les compagnons des professions intellectuelles"*, towarzystwo, które grupuje wszystkie kategorje pracowników umysłowych, urządziło dyskusję na temat czy intelektualiści winni się oddawać sportom.

Głos zabierało wielu wybitnych literatów i specjalistów zajmujących się bądź teoretycznie bądź praktycznie zagadnieniami związanemi ze sprawą sportów. Z przemówień ich widoczne jest przedewszystkiem jedno: żyjemy w epoce dwóch prądów jeszcze siebie zwalczających, które jednak mogą i powinny jedynie nieść sobie pomoc i uzupełniać się wzajemnie. Z jednej strony ciąży na nas spadek długich lat kultu ducha, pogardy dla ciała, a z drugiej strony nowy prąd, od czasu wojny zasilony nowemi wodami, bardzo bogaty prąd kultu rozwoju ciała, jeśli nie z pominięciem ducha, to usunięciem go na plan drugi.

Starsze pokolenie uczonych, widząc wśród młodzieży zbyt wielkie zamiłowanie do sportów i zainteresowanie się ćwiczeniami fizycznemi na niekorzyść ćwiczeń umysłowych, obawia się poważnie czy nie idziemy ku upadkowi cywilizacji i kultury, czy kosztem rozwoju ciała duch nie będzie poszkodowany. Natomiast inni twierdzą, iż sporty sprzyjają nietylko rozwojowi ciała, lecz też wpływają dodatnio na rozwój charakteru i duchowych wartości danej jednostki. Sport rozwija w człowieku wiarę w samego siebie, przytomność umysłu, konieczność liczenia jedynie na siebie, uczy go czynić wszystko dla dalekiego może jeszcze zwycięstwa, ale dla zwycięstwa które kiedyś przyjść musi, budzi w nim cześć dla przeciwnika który go zwyciężył, poszanowanie tego którego on zwyciężył. A przedewszystkiem daje silne poczucie życia, możności opanowania go, ryzyka, które przecież jest pięknem życia.

Dyskutowano bardzo nad kwestją czy człowiek pracujący twórczo może oddawać się sportom i ćwiczeniom fizycznym i jaki ma sporty uprawiać?

Oczywista takie, którеby go nie wyczerpywały fizycznie, nie odbierały chęci do pracy umysłowej, ale wzmacniały i pobudzały do działalności tem intensywniejszej.

A następnie czy chodzi o to by dane ćwiczenie wpływało na wydajność pracy czy też na jej lepsze wykonanie. Czy ma dodawać sił czy też pobudzać natchnienie twórcze? Zgodzono się, że artysta niezbyt wiele sportów może używać, doskonałym i bardzo odpowiednim jest konna jazda. Przykłady z przeszłości za nią przemawiają, dla niejednego poety jego rumak stał się jego pegazem. Ale w dzisiejszych czasach mieć konia do swego użytku jest rzecz dość trudna, wobec tego bardzo zalecano pewien „*ersatz*" konia, spacer pieszy, chodzenie daje ruch, świeże powietrze, a zarazem bardzo sprzyja świadomej choć powolnej i nie męczącej pracy mózgu. Naogół uznano bardzo dodatnie strony wprowadzenia do pracy umysłowej dyscypliny sportowej, gdyż one sprzyjają zanikowi wad, w jakie ludzie intelektualiści obfitują. Sporty wyrabiają szybkość decyzji, leczą z wahań, wątpliwości, zbytniej skłonności do marzeń, nieliczenia się z rzeczywistością i dodają odwagi nawet w obliczu własnych „genjalnych marzeń".

Ktoś proponował, żeby wobec technicznych trudności jakie dla intelektualisty nastręcza sport, zastąpić je ćwiczeniami fizycznemi i to nie w formie rzemiosł, ale w formie pracy ręcznej, zajęć gospodarskich, robót domowych.

Z powodu drożyzny służby i jej braku dzieje się to nieraz we Francji i nietylko kobiety, lecz nawet mężczyźni pracujący umysłowo zajmują się sprzątaniem, czyszczeniem noży etc., nie widząc w tem żadnej dla siebie hańby. Ale z pewnością przyjemniej będzie im to czynić, jeśli będą wiedzieć iż w ten sposób wykonywają jakieś ćwiczenie fizyczne, które tym pod każdym dziś względem upośledzonym ludziom ma zastąpić sport.

Bardzo ciekawy można było wysnuć wniosek z przebiegu dyskusji. Ta dzisiejsza animozja między sportowcem a intelektualistą polega przeważnie na nieporozumieniu; jednym się wydaje że sporty — to rzecz za brutalna, a drugim się wydaje że praca umysłowa musi wykluczać swobodny rozwój ciała.

Taki jest ogólny podkład, ale tu i ówdzie daje się widzieć dążność do zrozumienia się wzajemnego i do pojednania. Ciekawe jest to, że sportowcy, akrobaci i tancerze starają się wprowadzić pierwiastek intelektualny do swej pracy. Miejmy nadzieję, iż śladem ich pójdą i obecni ich przeciwnicy, i w ten sposób osiągnie się to co jest największą pięknością życia, harmonję ducha i ciała, jak to raz już ludzkość w swej najdoskonalszej dobie, w czasach greckich, osiągnęła. *Stefan Przerębski*

NAJPOPULARNIEJSZA KOBIETA WE FRANCJI. — Ankieta pisma paryskiego „*Quotidien*" wykazała, że najpopularniejszą kobietą we Francji jest *Marja Curie-Skłodowska*. Ilość osób głosujących wynosi 592.993, z tego nasza rodaczka otrzymała 98.036 głosów czyli olbrzymią większość, gdyż każdy głosujący głosował na 10 najsławniejszych zdaniem jego kobiet. Drugą zkolei najpopularniejszą kobietą okazała się *Sara Bernard*, na którą padło 89.191 głosów, Dalej idzie *Evangeline Booth*, z Armji Zbawienia, pani *de Noailles*. znana poetka, *George Sand*, *Edith Cavell*, bohaterka pielęgniarka zamordowana przez władze okupacyjne niemieckie, *Zuzanna Lenglen*, gwiazda sportu tennisowego, oraz pani *de Staël*, autorka tak bardzo wiek temu czytanej powieści „*Corynne ou l'Italie*".

FRANCUZ O KOBIECIE NORWESKIEJ.— Tegoroczna nagroda Akademji Goncourtów przypadła *Maurycemu Bedlowi* za jego książkę „Hieronim czyli pod 60-tym stopniem szerokości". Książka ta wywołała bardzo sprzeczne głosy krytyki i opinji publicznej, kwestjonowano jej wartość artystyczną, a przedewszystkiem sprzeczano się o jej prawdę. Bohaterem powieści jest młody Francuz, autor dramatyczny, który zresztą nie ma cech Francuza, szczególnie Francuza powojennego, gdyż jest nazbyt romantyczny. Otóż Hieronim jedzie do Norwegji, najpierw do Oslo, i czas prób swej sztuki bawi w tym kraju, leżącym pod 60-tym stopniem szerokości geograficznej, przyczem poznaje dobrze kobietę norweską. Przychodzi mu to zresztą bardzo łatwo, bo te panie wad swych ani zalet bynajmniej nie ukrywają. Panują tam następujące obyczaje: młode panny i bardzo młodzi mężczyźni zaręczają się bardzo wcześnie. Zaręczyny te są rodzajem próby przyszłego małżeństwa. Jeśli się sobie nie podobają, to bez żadnych tragedyj zrywają zaręczyny. Próba udana nie jest też widocznie żadną gwarancją trwałości przyszłego szczęścia, bo rozwody są na porządku dziennym. Odbywają się też bez żadnych niepotrzebnych dramatów, ludzie się rozstają, zrywają węzły miłości, bynajmniej jednak nie zrywając węzłów przyjaźni. To też zdarzyć się może sytuacja, którą Bedel opisał w swej powieści, a która — jak powiedział w jednym z wywiadów — w rzeczywistości miała miejsce. Zdarzyło mu się obiadować u pewnej damy, po prawicy której siedział jej pierwszy mąż, naprzeciw drugi, a obecnie szczęśliwie panujący czwarty miał za vis-a-vis trzeciego. Wszyscy ci panowie byli ze swemi obecnemi towarzyszkami życia i całe towarzystwo wesoło a zgodnie patrzyło na rozsypane między niemi, różne nazwiska noszące swe dzieci. Kombinacje te są możliwe, mówi autor, jedynie w Norwegji, gdzie prawo ochrania macierzyństwo i wielką opieką otacza dzieci bez względu na to czy są one ślubne czy nieślubne, czy ich rodzice żyją jeszcze ze sobą czy też się rozstali.

Powieść ta, napisana dobrze, dowcipnie, nie wiem czy tak dalece ubodła damy norweskie, jak się tego Francuzi obawiali. Z pewnością wiele rzeczy jest przeszarżowanych, ale część prawdy musi się też w tej książce mieścić.

SPROSTOWANIE. Ojcem Wandy Chełmońskiej był *Józef*, a nie Jan, jak to w artykule w nrze 10 mylnie zostało podane.

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

Dr. RENÉ MARTIAL: *La Pologne jadis & de nos jours* (Polska dawna i dzisiejsza). Z 50 rysunkami autora i z przedmową ministra Louis Marin'a. Paryż, 1928. Nakładem paryskiej filji Gebethnera & Wolffa. Str. 231. — La Pologne jadis & de nos jours nie jest książką polityczną, ale jak zaznacza w przedmowie szczery przyjaciel Polski Minister Ludwik Marin jest „wierną syntezą Polski, tego kraju o szlachetnym temperamencie, który po okresie burzy umiał w ciągu niewielu lat dokonać odrodzenia. Wielkość tego odrodzenia jest zbyt często niedoceniana". Zamiarem autora było przyczynić się rzetelnie do usunięcia wielu nieporozumień na temat Polski i dać społeczeństwu francuskiemu obraz Polski żywej, pracującej i twórczej. Bogaty i zawsze oryginalny materjał ilustracyjny jest jakby drugim opisem — mianowicie krajobrazu polskiego, naszej architektury i naszych pamiątek historycznych. Styl lekki, często wytworny a przytem nacechowany szczerą życzliwością i przyjaźnią autora dla Polski — zaleca książkę jako dobrego pośrednika między społeczeństwem polskiem a za granicą, zasługuje więc na poparcie i ze strony czytelnika polskiego.

SELMA LAGERLÖF: *Charlota Loewenskoeld*. Powieść. Przekład autoryzowany F. Mirandoli. 332 str. Poznań 1927. Nakładem Wydawnictwa Polskiego. — W biografjach wybitnych mężów często spotykamy gorzkie wyrzuty pod adresem ich żon czy kochanek, które nie umiały ich ocenić, nie dosyć okazywały im słodyczy i cierpliwości. Zapomina się o tem, jak nieraz trudny bywa wielki człowiek w życiu powszedniem. Mimo największą cześć dla genjuszu, ciężko jest przez życie całe dzień po dniu w pokorze znosić cierpkość usposobienia, nieuzasadnione wybuchy, przedewszystkiem zaś — brak subtelności. „Charlota Loewenskoeld" — to jakby „odpowiedź kobiety" na owe zarzuty. Mamy tu dzieje człowieka, namiętnie żądnego doskonałości. Ale summum ius summa iniuria! — wyradza się to aż w jakąś manję egocentryzmu. Rysem najjaskrawszym jego stosunku do ukochanej jest głęboka niesubtelność. *-w-c-i*

PROF. I. FISHER I DR. E. FISK: *Skarbiec zdrowia i życia*. Przekład z oryg. ang. Nakładem Wyd. Książek Pożytecznych. Lwów, 1928. — W ciągu paru miesięcy pojawia się już drugie wydanie obszernego, wytwornie wprost wydanego, bogato ilustrowanego podręcznika higjeny dla wszystkich, opartego o najnowsze zdobycze naukowe. Każdy laik może korzystać z pracy dwóch uczonych amerykańskich, piszących jasno, przejrzyście i przekonywająco, każdy, kto wie, że podstawą szczęścia jest zdrowie, znajdzie tam wprost całokształt wskazówek, jak postępować należy, aby cieszyć się niespożytem, młodocianem zdrowiem. Książka nieodzowna dla matki, dla wychowawczyni. Ale i każda kobieta znajdzie tam fachową radę, jak mieszkać, ubierać się, jeść higjenicznie — znajdzie zasady higjeny pracy, zabawy i odpoczynku, wreszcie — last not least — rady wypróbowane na utrzymanie czerstwego wyglądu i smukłej linji. Ponadto wszelkie szarlatańśtwa powinna wypłoszyć ta rozumna książka i ceną = 9 zł. 50 gr. za spory, oprawny tom.

M. N.

JOSEPH CONRAD: „*Opowieści zasłyszane*", „*Wśród prądów*" (Dom Książki Polskiej. Warszawa 1928.) — „Dom Książki Polskiej" podjął się zadania niespotykanego prawie w naszych dzisiejszych stosunkach wydawniczych. Zapowiedział wydanie zbiorowe dzieł Józefa Conrada (Korzeniowskiego), które ma się ukazać w 28 tomach w przeciągu kilku lat. W ten sposób Polska odzyska swego autora piszącego po angielsku. Dotychczas ukazały się 2 tomy „Wśród prądów" i „Opowieści zasłyszane", obejmujące szereg nowel. Czem są utwory Conrada dla czytelnika, charakteryzuje w kilku słowach znakomity krytyk angielski R. B. Cunninghame Graham: „Czytaj i podziwiaj; poczem złóż dzięki Ałłachowi, że daje wodę spragnionym i w wielkich odstępach zsyła nam pokrzepienie dla duszy". Staranny układ graficzny, sumienne przekłady, oraz niska cena poszczególnych tomów zapewniają temu wydawnictwu wszelkie powodzenie.

S. A.

SEZONOWE DROBIAZGI

DBAŁE o swoją cerę panie, niechętnie kupujące gotowe preparaty kosmetyczne, mają na wiosnę sposobność do własnoręcznego przyrządzania rozmaitych środków. W porze kwitnienia lilij i róż, jak również z pojawieniem się poziomek i — ogórków bawią się chętnie w tajemnicze alchemiczki w ciszy domowego ogniska, nieżądne rozgłosu.

ESENCJA LILJOWA: do litrowej flaszki wrzucić płatki ze świeżo zerwanych lilij i zalać najlepszym spirytusem nalewkowym, znanym pod nazwą *bon goût*. Płatków 1/4 część flaszki, spirytusu 3 kwaterki. Postawić w słonecznem miejscu na 2 tygodnie i wstrząsać codziennie. Po tym czasie odstawić flaszkę w chłodne i zacienione miejsce. W okresie dwutygodniowym można dosypywać świeże płatki, skoro pierwotnie nasypane spadną poniżej czwartej części. Esencja liljowa wydelikaca cerę, wygładza ją i wybiela. Używa się jej w stanie nie rozcieńczonym, o ile cera jest tłusta; zwitkiem waty zwilżonym w wodzie liljowej przemywać delikatnie twarz i szyję. Przy cerze suchej używać pół na pół z wodą przegotowaną.

KREM LILJOWY: 60 g soku wyciśniętego z cebulek białej lilji, 60 g miodu przejrzystego, 30 g wosku. Wosk lekko rozgrzać, utrzeć z miodem i wymieszać z sokiem z cebulek. Używać na noc.

WODA RÓŻANA: Świeże róże z gatunku do smażenia oczyszcza się tak jak na konfiturę, zalewa spirytusem w takich samych proporcjach, co esencję liljową, tak samo ją dalej przyrządza i podobnie jej używa.

WODA POZIOMKOWA: Sporządza się ją również w powyżej podany sposób i tak samo używa. Świeżość poziomek, tak jak i płatków lilij, odgrywa w dobroci wody ważną rolę.

MLECZKO POZIOMKOWE: pół szklanki soku wyciśniętego ze świeżych poziomek, szczypta boraksu toaletowego sproszkowanego, 20 kropel wody kolońskiej, ćwierć szklanki śmietanki albo świeżego niezbieranego mleka. Przed użyciem zakłócić i po zwykłej toalecie porannej lub wieczornej zwilżać twarz i szyję.

KORZONKI POZIOMEK leśnych, świeżo wykopane, zalać spirytusem nalewkowym i moczyć przez 2—3 tygodni. Płyn ten wybiela żółte plamy i piegi.

ŚWIEŻE POZIOMKI, roztarte na masę, nakładane bywają na twarz na przeciąg kilku godzin. Sok ich działa ściągająco i odmładzająco na naskórek. Przy cerach bardzo wrażliwych należy wypróbować działanie poziomek i krócej je trzymać na twarzy, zdarzały się bowiem przypadki wyprysków po takim zabiegu.

OGÓRKI służą oddawiendawna do pielęgnowania cery i są ulubionym domowym środkiem kosmetycznym, zwłaszcza w Anglji. Sok ogórkowy wybiela cerę, wygładza nierówności naskórka, działając przytem zjędrniająco.

ESENCJA OGÓRKOWA: obrane z łupki, drobno pokrajane ogórki utrzeć na miazgę lub utrzeć na tarle, wycisnąć sok i przefiltrować, by uniknąć mętów. Na 3 kwaterki soku 1 kwaterka najlepszego spirytusu nalewkowego, szczypta boraksu i 15 g gliceryny. Przechowywać w szczelnie zakorkowanych flaszkach w piwnicy.

KREM OGÓRKOWY:

Soku ze świeżych ogórków . .	100 g
Nalewki benzoesowej	3 g
Tynktury tolutańskiej	2 g
Waniliny	0,5 g
Lanoliny	100 g
Smalcu świńskiego niesolonego .	200 g
Olejku różanego	0,5 g

Albo:

Wosku białego rozgrzanego . .	18 g
Olbrotu	14 g
Olejku migdałowego	50 g
Soku ogórkowego	60 g
Lanoliny bezwodnej	7,5 g

Dokładnie wymieszać, utrzeć na krem i przechowywać w chłodnem miejscu.

Do wyrabiania kremów, wód i wogóle kosmetyków należy używać porcelany i szkła, t. zn. ucierać w miseczkach porcelanowych lub szklanych, takiemiż łyżkami lub wałeczkami.

*

Z wyjazdami na lato łączą się niejednokrotnie, zależnie od miejscowości, niemiłe a czasem groźne w następstwach ukąszenia różnych insektów.

Najważniejszą rzeczą jest zaopatrzenie się w środki zapobiegawcze, t. j. takie, których woń sprawia przykrość owadom i trzyma je w pożądanem oddaleniu od ciała ludzkiego. Czasem jednak są te środki niemiłe dla powonienia i trzeba je neutralizować eterycznemi olejkami. Octan etylowy należy do znienawidzonych przez komary i muchy; zmieszany z jakimś eterycznym olejkiem oddaje pożądane usługi. Dlatego zwykły octy toaletowe uważane bywają za wystarczające; jednakowoż inne ich słodko wonieające składniki osłabiają działanie octanu etylowego. Natomiast niżej podany ocet łączy przyjemne z pożytecznem: ma miły zapach dla ludzi, odstraszający dla insektów.

Ocet ochronny przeciw insektom:

Alkoholu absolutnego	400 g
Octanu etylowego	50 g
Kwasu octowego krystalicznego .	8 g
Eukaliptolu	100 g
Isoeugenolu	2 g
Wody	1000 g

W miejsce alkoholu lepiej byłoby użyć silnej wody kolońskiej, ale takiej, w której olejek pomarańczowy nie wybijałby się na pierwszy plan.

Wszystkie ostre olejki eteryczne sprawiają owadom wstręt, ale najgorszym ich wrogiem jest olejek eukaliptusowy.

Oprócz octów sporządzane bywają suche kremy ochronne, np.:

Suchego kremu	500 g
Eugenolu	0,5 g
Olejku eukaliptusowego . . .	5 g
„ kajeputowego	1 g

Suchy krem trzeba kupić gotowy — gdyż sporządzenie go w domu jest bardzo utrudnione — i zmieszać z podanemi tu składnikami. Krem należy *wetrzeć* w skórę przed wyjściem na świeże powietrze; samo posmarowanie kremem nie wystarcza, gdyż krem musi głębiej w skórę przeniknąć.

Puder przeciw moskitom:

Łojku [talku]	100 g
Mąki pszennej	100 g
Olejku eukaliptusowego	13 g

Natomiast po ukąszeniach stosujemy amonjak, spirytus kamforowy, arnikę, jodynę, t. j. zwilżamy miejsce dotyczące.

Efeb

COŚNIECOŚ DLA TĘŻSZYCH PANÓW

ŻURNALE kobiece poświęcają t. zw. „tęższym paniom" specjalne kolumny i udzielają wskazówek w wyborze modeli korzystnych dla ich sylwetek. Nie wątpiąc, że i tęższi panowie pragną wyglądać estetycznie, zajmiemy się dziś wyjaśnieniem różnych drobnych szczegółów pomocnych do uzyskania szykownej linji. Bo na pociechę panów nieco korpulentniejszych nadmienić wypada, że nietylko wysmukli mogą być dobrze ubrani, gdyż szczupłość nie jest niezbędnym warunkiem dobrego prezentowania się i szyku. Trzeba tylko znać pewne tajne przykazania, mieć dobrego krawca, no i — umieć swobodnie obnosić swoich kilka kilogramów ponad normalną wagę. Człowiek dobrze ubrany, i świadom tego faktu, opanuje ową sztukę łatwo.

Zaraz więc na początku prostujemy fałszywe mniemanie, że tylko bez zarzutu zbudowany mężczyzna może być dobrze ubrany. Nie, on tylko nie potrzebuje tyle wagi przywiązywać do różnych szczegółów w ubraniu, by uzyskać nienaganny wygląd. Może również pozwolić sobie na różne ekstrawagancje mody i pewną pozorną niedbałość, podczas gdy korpulentny pan, czy też jego krawiec, musi wytężyć myśl w każdym kierunku, by stworzyć dyskretną całość.

Krój ubrania i okrycia nie powinien dążyć do zwężenia ramion, jak to niektórzy krawcy eksperymentują. Przeciwnie, szersze ramiona działają wysmuklająco w stosunku do całej sylwetki. Natomiat wąskie, przy otyłej figurze, nadają sylwetce ociężały, niezgrabny wygląd.

To samo da się powiedzieć o wyłogach. Wąskie wyłogi na szerokiej klatce piersiowej nietylko nie wysmuklają, ale wyglądają wprost śmiesznie. Obecna moda szerokich wyłogów jest więc bardzo dodatnia i można z niej wyciągnąć duże korzyści, zwłaszcza kształtując je w łagodny owal.

Wycięcie kamizelki nie może sięgać za wysoko pod szyję. Również kołnierz ubrania powinien być możliwie najniższy z tyłu, ze względu na ewentualne fałdy na karku, a po bokach nie może zbytnio przylegać. Tak samo kołnierz koszuli musi być obszerny. Wygodne i niskie kołnierze ubrań i bielizny pozwalają na swobodne ruchy głowy — chociażbyśmy już nawet higjenę chcieli pominąć milczeniem. Pozatem, jakże brzydko wygląda szyja wylewająca się poza kołnierz.

Wogóle rzeczy obcisłe, dokładnie przylegające, nie nadają się bezwzględnie dla tęższych panów i wbrew oczekiwaniu wcale nie wysmuklają, lecz przeciwnie bezlitośnie uwydatniają obfite kształty.

Za szerokich, wiszących ubrań należy się wystrzegać narówni ze zbyt obcisłemi. Żakiet np. może być nawet *prawie* przylegający, lecz zapewniać pełną swobodę poruszeń, do czego dopomagają dozwolone obecnie fałdy w okolicy pachy, z przodu na piersiach i w tyle na plecach.

Kamizelka, a raczej — mówiąc ściśle — jej ostre zakończenia z przodu powinny być trochę dłuższe, aniżeli przy ubraniach szczupłych mężczyzn.

Szczególniej zaś korzystną modą dla tęższych panów jest obecna szerokość spodni, która, zwłaszcza przy żakiecie i fraku, uwydatnia swoje walory. Najtęższy meżczyzna może obecnie w obfitych fałdach spodni ukryć niepożądane zaokrąglenie poniżej klatki piersiowej, czy jak kto woli — w okolicy żołądka. Frak lub żakiet przy wąskich spodniach wygląda naprawdę katastrofalnie.

A teraz rzecz może najmniej spodziewana — kwestja wyboru kapelusza.

Rzadko który z panów zdaje sobie z tego sprawę, czem jest dla ogólnego wyglądu dobrze dobrany kapelusz. Nie chodzi tyle w tym przypadku o gatunek lub kolor, jakkolwiek i ten ostatni gra swoją rolę, ile o odpowiedni obwód. Każdy mężczyzna, bez względu na tuszę, wygląda źle w za ciasnym kapeluszu, siedzącym na czubku głowy. Ale to przyznać trzeba, że dużo gorzej przedstawia się ta sprawa dla tęższych panów, jeśli wybiorą za mały i za ciasny kapelusz. Wszelkie zaś powątpiewania w tym względzie usunie próba przed lustrem i krytyczna bezstronna ocena. Radzimy zatem wybrać kapelusz wygodny, o kresach średniej wielkości — byle nie za małych — i nie wkładać go zbyt głęboko na oczy.

Wszechwładnie panujący sport bywa często namiętnością i tęższych panów, którzy — poza sportem automobilowym — widzą w nim środek na wymarzone zeszczuplenie.

W wyborze materjałów trzeba zachować wielką rezerwę i nie wzorować się na młodych chłopcach, trzymających się ściśle ostatnich ekstrawagancyj mody. Nie nosić np. białych tennisowych spodni, ani krzykliwego w barwach pulloveru do golfa. Na indeksie są również duże kraty, szerokie pasy, małe czapeczki, wybitnie wzorzyste pończochy. Najodpowiedniejsze będą materjały jednolite. Kolory spokojne: ciemny beige, hawanna, popielaty, stalowy; zaś pullover lub tennisowa marynarka w jaśniejszych tonach. Natomiast do jazdy konnej wprost przeciwnie, spodnie jaśniejsze, bluza lub surdut ciemniejszy.

Ubranie do polowania wygląda szykownie z materjału angielskiego w drobniutką krateczkę. Marynarka jednorzędowa, z dużemi kieszeniami nałożonemi po wierzchu i zapiętemi na guziki. Plecy gładkie. Wyłogi niezbyt szerokie i niedługie, kończące się przy pierwszym z trzech guzików, które są wszystkie stale zapięte. Spodnie krótkie, pod kolanami zapięte, nieprzesadnie szerokie. Pończochy wełniane w skośną kratę; buciki wysokie, sznurowane, w kolorze bronzowym. Miękki kapelusz z kresą opuszczoną wdół.

Trudno wyliczyć szczegółowo wszystkie dressy sportowe, gdyż na to miejsce nie pozwala — jak również trudno wymienić wszystkie wskazówki w odniesieniu do poszczególnych garniturów i okryć. Ogólnie mówiąc, każdy tęgi mężczyzna może, mimo swej tuszy, robić korzystne wrażenie w ubraniu sportowem, czy też w każdem innem, jeśli uwzględni rady wymienione wyżej.

Przybrawszy za doradczynie powagę i prostotę, i powierzywszy się rękom zdolnego krawca — warunek niezbędny — może korpulentny pan wytwornością stonowanego całokształtu górować nad modnymi młodzieńcami.

Nie to bowiem jest najważniejsze, ażeby stosować się do modnych szczegółów, lecz umieć dostosowywać rzeczy do indywidualnych potrzeb i warunków fizycznych.

Trzeba umieć krytycznie obserwować siebie, liczyć się ze swemi wadami i nie żenować się ich, lecz znosić je z prostotą, z dobrym humorem i nie chcieć wmawiać w siebie lub w drugich, że jest inaczej, aniżeli oczy widzą.

Wkońcu *trzeba umieć nosić swoje rzeczy* i umieć poruszać się w nich naturalnie. *Gentleman*

O STROJU PODRÓŻNYM

CHWAŁA Bogu minęły już czasy, kiedy się na podróż ubierano w co kto miał najgorszego. Wprawdzie jeszcze i teraz koleje nie są tak urządzone, nie mówię oczywista o luksusowych pociągach, by się w nich nie niszczyły rzeczy, ale mimo to nikomu dziś na myśl nie przyjdzie włożyć na drogę suknię, których z wiadomych powodów nie jest już szkoda. Każdy natomiast czuje potrzebę odpowiedniego podróżnego stroju, któryby był na tyle wytrzymały, jako materjał, kolor i fason, by można w nim odbyć dalekie nawet podróże, jeździć lokalnemi kolejkami, trząść się na naszych furkach, a jednak nie wyglądać w następstwie jak karykatura cywilizowanego człowieka.

Nie trzeba chyba wyraźnie zaznaczać, że dla stroju podróżnego wchodzi w grę jedynie angielski styl i to nawet wówczas, gdy się podróżuje w idealnych warunkach i na krótkich przestrzeniach. Nowoczesna elegancja wymaga bowiem nietylko ładnych ubrań, ale i zastosowanych do okoliczności.

Z tej też samej zasady wynika, że większość tegorocznych paryskich modeli dla większości naszych pań nie jest odpowiednia, a to dlatego, że obliczone są na podróże automobilowe, rozpowszechnione na Zachodzie nietylko wśród ludzi bogatych, ale nawet wśród średnio-zamożnej inteligencji pracującej. Zresztą dla prostej ciekawości i dlatego że nadają się one do turystyki wspomnę tu o takim modelu w paru słowach. Składa się on z płaszcza lub żakietu ze skóry i takiej czapeczki i dzięki temu kpi sobie z pogody, pogniecenia i t. p. By zaś niemiłe możliwości jeszcze bardziej usunąć, kieszenie tych okryć zapięte są prawie że hermetycznie, bo na patentowe zamki, takie same jak te które opanowały torebki damskie. Może wreszcie ten rodzaj zamknięcia położy koniec gubieniu, wypadaniu z kieszeni, kieszonkowym kradzieżom i innym przykrościom podróży.

Pod te zarzutki nosi się krótkie sportowe spódnice z wełny, w paski, kraty, albo inny angielski deseń, a na to sweatery lub długie, sięgające poza biodra, bluzki z irchy, z kieszonkami jak u koszulek, wykładanym kołnierzykiem i patentowym zamkiem jako zapięcie.

Co do normalnych, w naszych stronach i stosunkach, kostjumów podróżnych, to są one z t. zw. angielskich materjałów koloru *beige*, bronzowego, szarego, popielatego, koloru szpagatu i t. p., w różne desenie. Specjalnie ulubione są materjały, których jedna strona jest gładka, a druga w deseń, paski lub kraty, przyczem strona wewnętrzna przechodzi nazewnątrz, jako kołnierz lub obramowanie kieszeni i rękawów.

Te podwójne materjały tak są modne w tym roku, że się je naśladuje, dobierając do wełnianego płaszcza odpowiednią, również wełnianą, podszewkę, o ile wierzch sam nie jest z takiego dwustronnego materjału. W tym przypadku moda posuwa kombinacje obu materjałów jeszcze dalej i poleca uszyć z kratkowanego materjału spódnicę. Dobrawszy do niej odpowiedni sweater, to znaczy w tonie wierzchu płaszcza, stwarza ściśle ze sobą związane podróżny *trois pièces*.

Jeszcze bardziej wyrafinowane są komplety, przy których wierzch płaszcza jest też z trykotu, tego samego mianowicie co sweater. Można też strój ten odwrotnie skombinować, t. zn. wełny, z której jest spódnica, a jest to zawsze materjał w deseń, użyć jako wierzchu płaszcza, a trykot sweateru wziąć na podszewkę.

Z fasonów niezmiernie lubione są płaszcze z przyszytemi do nich pelerynami. Peleryny te są czasem wcale długie, zawsze jednak ku przodowi zmniejszają się zwolna, a czasem są to tylko zupełnie małe fragmenciki pelerynek. Bardzo noszony jest też fason raglanowy. Inne są proste, mają szerokie, wszywane rękawy, duże kieszenie i długie a wąskie szalowe kołnierze, albo też małe futrzane kołnierzyki. Jako ozdoba służą plisy z tego samego materjału, zakładki i stebny na kieszeniach, rękawach lub kołnierzu, o ile jest mały i nieprzybrany futrem. Paski ze skóry lub materjału mile są widziane.

Ktoby się jednak na te wyrafinowania nie mógł zdobyć, może bezpiecznie włożyć na podróż swój miejski angielski płaszcz. A jeszcze lepiej zrobi, jeśli sobie sprawi t. zw. *trench-coat*, to jest płaszcz z impregnowanego materjału, zaopatrzony w podszewkę do odpinania. Jest to rzecz nader praktyczna, bo dobra w mieście, w drodze, na wsi, podczas pogody i niepogody, zimna i ciepła, a nadto nie droga i w tym roku bardzo modna. Słowem — godna polecenia.

Pod płaszczem nosi się przeważnie spódnice z odpowiednim sweaterem, albo też bardziej skomplikowany strój, składający się ze spódnicy i kamizelki z angielskiego materjału, a prócz tego ze sweateru lub kasaku. Można też włożyć płaszcz na kompletny kostjum, t. j. spódnicę, żakiet — krótki — i koszulkową jedwabną bluzkę. W każdym razie nie wypada włożyć innej sukienki jak tylko garsonkę.

Kapelusze podróżne są, oczywiście, małe. Zazwyczaj mają małe naokoło kresy spuszczone, albo też podgięte z przodu, a z tyłu całkiem przylegające do głowy. Fasony są po największej części z filcu. Wobec tego jednak, że słoma tego lata tak bardzo jest w łaskach, są nią przybrane te filcowe kapelusiki. Słomiana wstążka, okalająca główkę lub przynajmniej jakiś mały motyw z boku — oto hołd, złożony wszechwładnej słomie. Kolor kapeluszy przeważnie jasny, a najczęściej *beige*.

Fasony słomkowe są koloru naturalnej słomy. Przeważnie szeroko plecionej. I one też mają często jakieś pasemko filcu na sobie, by spełnić kaprys tegorocznej mody, która nakazuje o ile możności kombinować materjały.

Tendencje te uwidoczniają nawet buciki, i to nawet te praktyczne modele, które obecnie należy i wypada włożyć na drogę, czyli fasony szerokie, na niskich obcasach, zrobione z dwóch co najmniej gatunków skóry i w dwóch tonach. Obuwie zaś jednobarwne jest dla powetowania swego wykroczenia ażurowane w deseń.

Jako fason najmodniejsze są do sportu — a trzeba wiedzieć, że nawet i bierna podróż w kolei podlega przykazaniom sportowego stroju — zarzucone od paru lat, sznurowane półbuciki, rzecz jasna, zmodernizowanego kroju.

Za najstosowniejsze pończochy sportowe uchodzą pończochy w deseń, prążki lub kratki, naturalnie innego tonu aniżeli tło pończoch. Czy w danym przypadku odpowiednie są wełniane, niciane, czy jedwabne, to zależy od bliższych okoliczności i zawsze nietrudne jest do rozstrzygnięcia. Jako uzupełnienie podróżnego stroju należy wybrać rękawiczki jasne z irchy lub lepiej jeszcze z świńskiej skóry.

Lekki i elastyczny ten materjał gra wogóle w podróżnym ekwipunku wielką rolę. Tak np. prócz dużych waliz, dawno już wyrabianych z tego gatunku skóry, robi się teraz z niego także i podróżne podręczne torby, które są stosunkowo niezbyt duże, a jednak bardzo pakowne, i wygodnie się zamykają na ów znany nam patentowy zamek. Istną minjaturą tych podręcznych toreb są ręczne torebki podróżne, tem wygodniejsze, że u spodu mają szufladę, zapiętą z zewnątrz na guzik. Mieści się w niej mały podróżny neseser. Miękki pled w duże pstre kraty — i podróżna garderoba jest w komplecie. A więc: dobrej pogody i miłego pobytu!

Mewa (Paryż)



TOALETY DANCINGOWE

493. Biała toaleta z *crêpe satin*, po stronie matowej, plisa ze strony lśniącej; oryginalne kwiaty stylowe na ramieniu.

494. Młodociana toaleta z *crêpe de Chine* jasno-zielonej w rdzawe groszki; pasek ze wstążki w tonie groszków.

495. Toaleta z lekkiego sztucznego jedwabiu w kolorze *beige*; chusteczka we wzór geometryczny.



SUKIENKI NA DNI UPALNE

496—498. Powiewne sukienki letnie z materjałów wzorzystych: markizeta, *crepe Georgette,* fular.



SUKIENKI POPOŁUDNIOWE

499. Wytworna sukienka z *crêpe de Chine beige.*
500. Szykowna sukienka z sztucznego jedwabiu granat. w białe centki.
501. Sukienka powiewna z muślinu jedwabnego w kolorze lawendowym; centki białe i granatowe.



LECIUTKIE WEŁNY

502. Sukienka z wełny białej w wiśniowe paski. Model ten zdobi kombinacja pasów poprzecznych i podłużnych.

503. Sukienka z wełny jasno-rubinowej, przybrana czarnym jedwabiem woskowanym.

504. Sukienka w kratę bronzową na tle *beige*. Pasek z irchy ponsowej, chusteczka dostosowana do kapelusza.



LETNI SPORT
505—507. Sukienki z jasnej kashy.



PODLOTKI I DZIECI

508. Sukienka z *crêpe Georgette* w modny wzór.
5)9. Sukienka z fularu we wzór; oryginalna, o nierównym obwodzie spódniczka.
510. Sukienka dla dziewczynki 6—10 letniej z surowego jedwabiu w centki; pasek ze skóry.
511. Ubranko do zabawy z płótna jedwabnego.
512. Sport. żakiecik z flaneli w pasy dla chłopczyka lub dziewczyn'ki.



NA DNIE DESZCZOWE

513. Płaszczyk z materjału impregnowanego o charakterze angielskim.

514. *Cape* z miękkiego angielskiego materjału wełnianego. Kołnierz przedłuża się w szal.

515. Płaszczyk z materjału impregnowanego *double*, przybrany drugą stroną materjału.







DZIECIAKI

516. Sukieneczka z surowego jedwabiu granatowego gładkiego i w centki. Pasek z białej skórki.

517. Sukieneczka z krepy do prania; pasek ze skóry.

518—520. Ubranka do zabawy wakacyjnej; materjały do prania w jasnych kolorach.

SAŁATA I WYSMUKŁA LINJA

Nie jestem samolubna. Gdybym nią była, ukrywałabym przedewszystkiem adres mojej krawcowej, nie zdradzałabym nigdy kosmetyków, jakich używam, a także trzymałabym w jak największej tajemnicy sekret mojej „dobrej linji". Inne kobiety, jeżeliby nawet skąd inąd były skłonne do wynurzeń, są w tych sprawach dziwnie skryte, nawet wobec swych najlepszych przyjaciółek.

Wysmukłą linję zawdzięczam przedewszystkiem odpowiedniej diecie. Nie głodzę się, o nie, zbyt lubię smaczne potrawy, abym się potrafiła ich wyrzec, jem jednak te tylko, które nie powodują zbytnej otyłości. A więc przedewszystkiem sałaty! Moja kucharka jest prawdziwą perłą. Dzięki swojej pomysłowości przyprawia mi ona coraz to inne wyjątkowo smaczne sałaty, i ponieważ, jak to już powiedziałam, nie jestem samolubna, mam zamiar podzielić się z memi „siostrami w idei" (posiadania smukłej linji) kilkoma wyjątkowo udanemi receptami. Przy tej okazji chciałabym nadmienić, że żona mego kolegi Janningsa, który od pewnego czasu prowadzi zaciekłą walkę z „brzuszkiem", jest entuzjastyczną wielbicielką moich recept.

Sałata irlandzka:

4 łyżeczki deserowe majonezu,
1 funt raków,
1 ogórek,
1 wiązka selerów,
1 główka sałaty.

Ogórek i selery należy drobno pokrajać i następnie zmieszać z rakami i majonezem. Całe liście zielonej sałaty należy ułożyć w kształt liścia koniczyny na dnie miski i następnie nałożyć przyrządzoną potrawkę. Powyżej podane ilości wystarczą na osiem osób.

Sałata z jaj:

6 jaj na twardo, kilka plasterków buraków,
1 łyżka deserowa kaparów,
1 grzanka,
1 łyżka deserowa siekanej pietruszki,
1 łyżka deserowa majonezu,
2 łyżki deserowe śmietany.

Należy pokrajać jaja w dość grube plasterki, ubić śmietanę i pomieszać ją z majonezem i siekaną pietruszką. Grzankę kładzie się na dno miski i pokrywa liśćmi sałaty. Następnie kładzie się warstwę majonezu i warstwę jaj, i powtarza wszystkie warstwy począwszy od sałaty. Ten rodzaj sałaty ubiera się kaparami i buraczkami oraz papryką.

Francuska sałata z bananów:

6 dojrzałych bananów,
1 filiżanka siekanych orzechów, 1/2 filiżanki majonezu,
1 główka sałaty.

Należy włożyć na dno miski liście sałaty, następnie położyć warstwę przekrajanych na pół bananów i polać to majonezem. Wszystko posypać siekanemi orzechami. Do tego rodzaju sałaty polecam wafle.

Sałata z grochu:

1 miara gotowanego grochu,
1/4 miary cienko krajanej sałaty,
1 łyżka deserowa drobno krajanej gotowanej cebuli,
sos majonezowy.

Drobno posiekać i nałożyć do miski wyłożonej liśćmi sałaty, następnie polać sosem. Ugarnirować rzodkiewkami, buraczkami i zielenią.

Sałata z ogórków i selerów:

1 pęczek selerów,
1 ogórek,
3 pęczki rzodkiewek, 1/2 łyżki deserowej siekanej pietruszki,
2 jaja gotowane na twardo, sól, pieprz, garnitur z sałaty.

Należy oczyszczone wprzód dobrze selery pokrajać w wąskie paski i włożyć na pół godziny do zimnej wody. Ogórki należy obrać i również pokrajać na wąskie paski. Zmieszać selery i ogórki, dodać papryki, soli i pieprzu i ubrać rzodkiewkami i plasterkami twardych jaj oraz pietruszką.

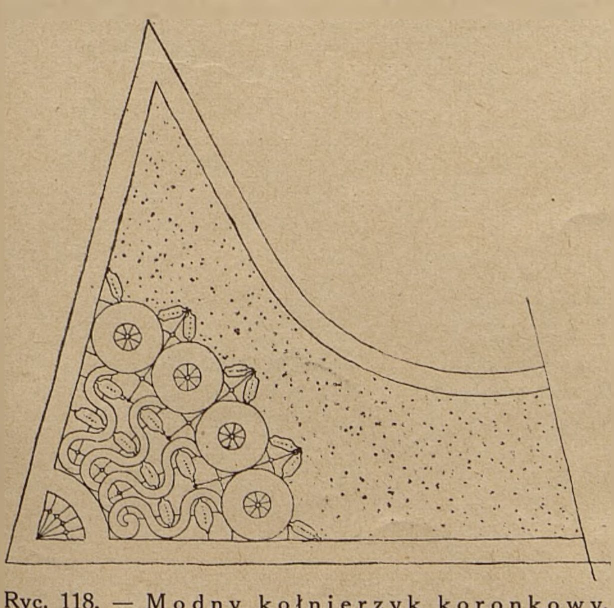
Florence Vidor
gwiazda „Paramountu"



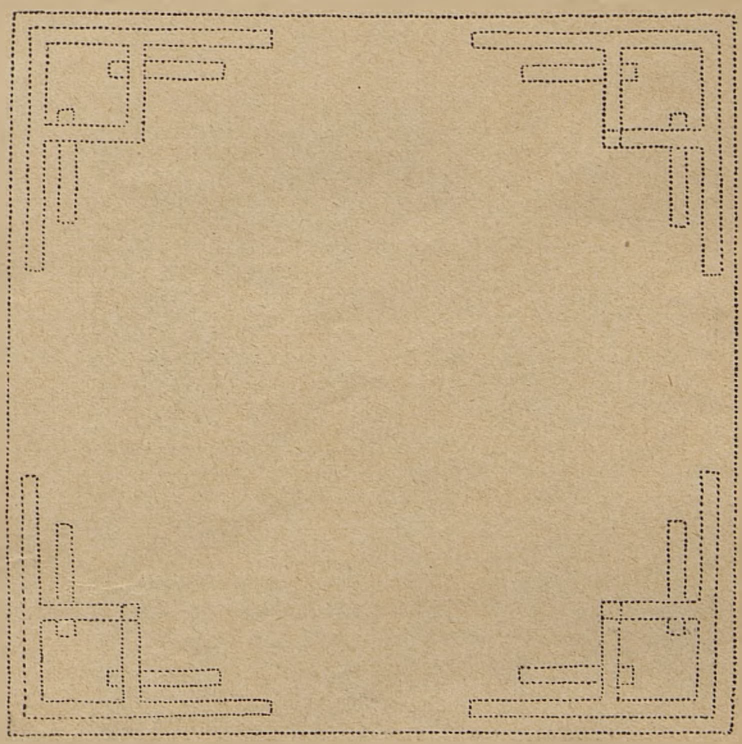
Rys. 117. — Wzór na szal, oparty na motywie indyjskim. Materjał crêpe de Chine. Tło: kremowe (ciepłe). Kolory: 1. czarny, 1. róż indyjski, 3. żółty, 4. niebieski jasny. Malowany farbami roślinnemi. Naokoło frendzle z lacetu albo kordonku długości 1/2 metra, koloru tego samego co tło. — *Proj. Jadwiga Skalecka.*

Wszelkich porad w sprawach robót ręcznych udziela redakcja.

Administracja dostarcza wzorów naturalnej wielkości.



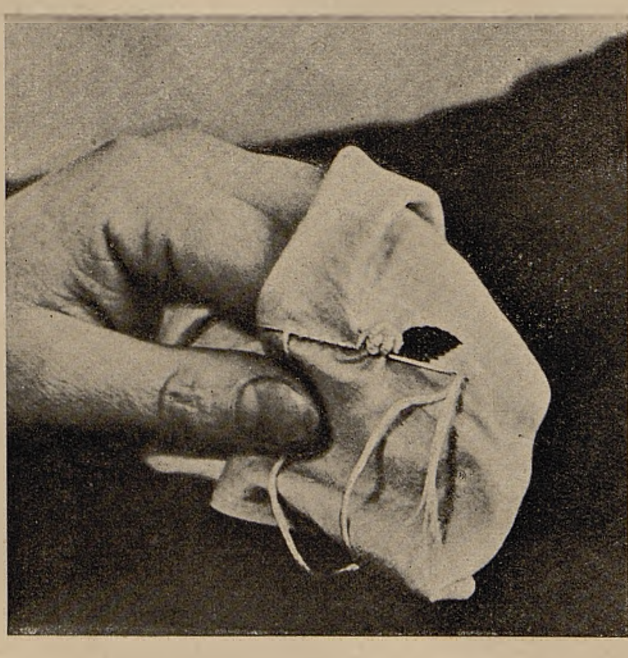
Ryc. 118. — Modny kołnierzyk koronkowy.



Rys. 119. — Obrus biały w kształcie kwadratu, ozdobiony mereżką. Zależnie od wielkości obrusa oddalenie narożników od siebie. — *Proj. Jadwiga Skalecka.*



Rys. 120. — MAKATA APLIKOWANA. Wymiary 104 × 52 *cm*. Materjał: na jasno-zielonem suknie postacie zwierząt z białego aksamitu, podmalowanego bronzową farbą w cienie. Owoce z pomarańczowego sukna i liście z ciemno-zielonego sukna aplikuje się, przyszywając złotą nitką biały sztuczny jedwab wraz z brzegiem sukna. Dół aplikuje się płaskim haftem, jedwabiem, imitując trawę. Dokoła rama z ciemno-zielonego pluszu 12 *cm* szeroka. — *Proj. Jadwiga Madeyska.*

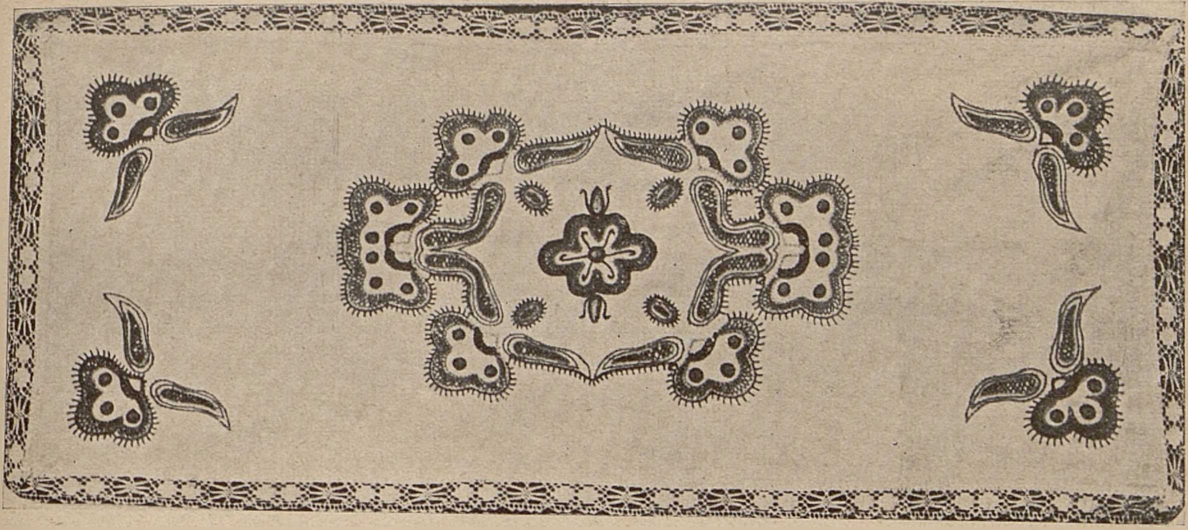


Rys. 121 b.



Rys. 121 a.

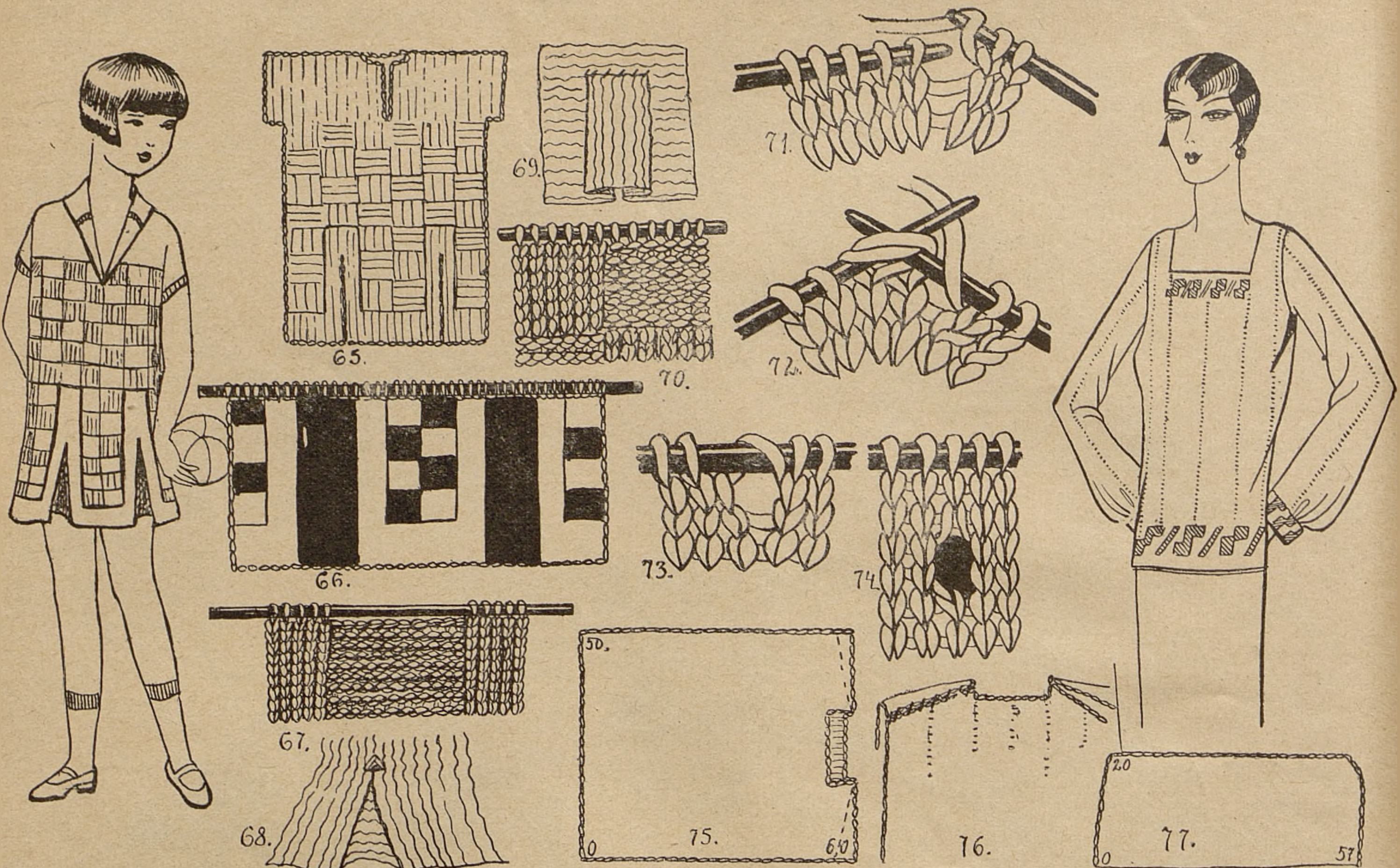
Rys. 121 a. — MOTYW DO OZDABIANIA SUKIEN, BLUZEK I T. P. Jest to robótka wzorowana na haftach naszych prababek, które na białym hafcie robiły tym ściegiem kłoski zboża i kwiatki. Wykonana jedwabiem filoflos, a sznureczki, które tworzą listki kwiatków, powstają przez nawijanie nitki na igłę i przeciągnięcie igły przez nawiniętą nitkę (rys. 121 b). — *Proj. Zofja Huberówna.*



Rys. 122. — SERWETKA wykonana ściegiem ozdobnym na płótnie lnianem. (Motyw ludowy — łowicki.) Barwy: 1. zielona (pawi kolor), 2. czerwona (mak), 3. szafirowa, 4. żółta, 5. fioletowa jasna, 6. i 7. czarna. Ściegi: haft płaski, ścieg „Janina”, ścieg łańcuszkowy, ścieg wodny. Serwetkę można wykończyć obrąbkiem, mereżką albo koroneczką nicianą. Rozmiary: 27 × 66 *cm.* — *Proj. Wanda Halska*



Rys. 123. — PODUSZKA Z JEDWABIU w kolorze pomarańczowym, bufka fiołkowa. Listki i kulki pręcików wykonane haftem płaskim, kolorem fiołkowym; łodyżki i linje geometryczne kolorem czarnym. — *Proj. Z. Mściwujewska.*



KURS TRYKOTARSTWA

9)

SUKIENECZKI z fałdami zawsze są korzystne dla dzieci. Można je z trykotu tak samo ułożyć, jak z materjałów tkanych. Fałdy założone do środka, t. zw. kontrafałdy, wykonywa się ściegiem nawywrót. Podajemy dziś sukienkę robioną w kratkę, z gładkim karczkiem i czterema kontrafałdami, po 2 z przodu i 2 na plecach. Krój uwidoczniony na rys. 65. Najlepiej zaczynać od dolnego brzegu przodu. Rys. 66 przedstawia początek roboty, dla większej wyrazistości ściegi gładkie są białe, ściegi nawywrót czarne. Na kontrafałdy robi się więc 2 pasy ściegiem nawywrót między węższemi pasami gładkiego ściegu, do takiej wysokości, do jakiej mają sięgać fałdy. Gdy są dość wysokie, należy zakończyć pasy przeznaczone na fałdy, jak tego uczyliśmy w pierwszych częściach kursu; oczka gładkie pozostają na drutach, rys. 67. Następnie robić dalej, jakby tych pasów nie było, według wzoru widocznego na rys. 65. Wykończenie fałdów uwidocznia rys. 68 ze strony prawej, gdzie górą fałd jest przytrzymany wyhaftowaną muszką czyli trójkącikiem, a rys. 69 ze strony lewej, gdzie fałd przytrzymany kilku niewidocznemi ściegami.

Przed rozpoczęciem roboty należy zrobić krój z papieru i na nim narysować mniej więcej wzór. Przód i tył robi się jednolity, bez szwu na ramionach. Przód górą ma rozporek; kołnierzyk jest prosty. Zależnie od grubości użytej włóczki potrzeba mniej lub więcej oczek na poszczególne kwadraciki wzoru.

Dziurki wrabiane w trykocie służą jako ozdoba i znajdują różne zastosowania. Wykonanie jest bardzo łatwe. W miejscu, w którem ma znajdować się dziurka, nawinąć nitkę przed odrobieniem następnego oczka od przodu do tyłu przez prawy drut, rys. 71. Następne dwa oczka przerobić razem, czyli spuścić 1 oczko, rys. 72. Po odrobieniu tego rzędu widać nitkę nabraną na drut, rys. 73. Robiąc następny rząd uważa się nawiniętą nitkę za oczko zwyczajne i przerabia jak takie. Gotową dziurkę uwidocznia rys. 74.

Bardzo łatwe zastosowanie dziurek przedstawione na jumperze z jedwabiu. Dziurki tworzą tu drobne paski, które dzielą jumper na szersze pasy. Dół, wycięcie i mankieciki zdobią szlaki wyszyte krzyżykami w różnych kolorach.

Jak już wspomnieliśmy przy poprzednich częściach, dolny brzeg zaczyna się kilku rzędami gładkich i nawywrót, żeby się nie zwijał. Rys. 75 uwidocznia krój z wymiarami. Przód ma równe ramiona i niższe wycięcie, plecy natomiast mają ramiona nieco ścięte (linje kreskowane na rys. 75) i wycięcie nieco wyższe.

Łączenie szwów na ramieniu uwidocznia rys. 76. Wymiary i fason rękawa przedstawia rys. 77, t. zn. połowę szerokości. Góra rękawa trochę zaokrąglona.

Dziurkami wrabianemi można zakończać górny brzeg spodenek dla chłopczyków, o czem wspominaliśmy w ostatniej części kursu. Służą one do przewleczenia gumki. Można je oczywiście wykonywać na ten cel jedynie z grubszej włóczki, gdyż z cienkiej byłyby za małe.

W następnej części podamy kilka wzorów na chustki i szale, przyczem pokażemy różne sposoby zastosowania dziurek.

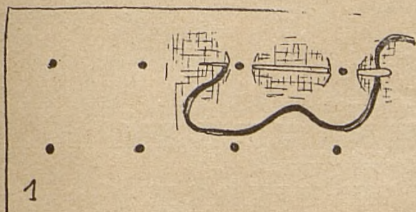
Z. Kulczycka

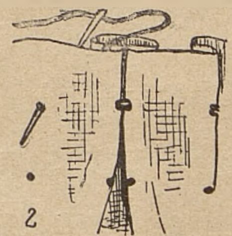
KĄCIK PRAKTYCZNY

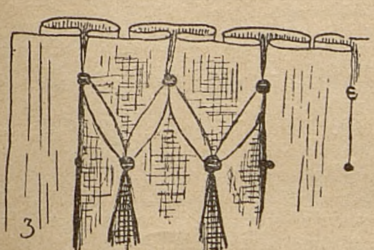
OZDOBNE MARSZCZENIE

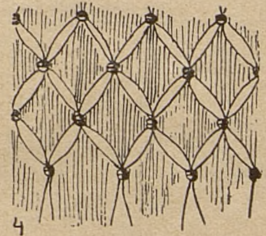
POWIEWNE sukienki letnie zdobi się często marszczeniem i wyszywa na niem różne wzory. Nadają się do tego prawie wszystkie lżejsze materjały, a ostatnio stosowano tę ozdobę nawet przy sukniach wełnianych i płaszczach.

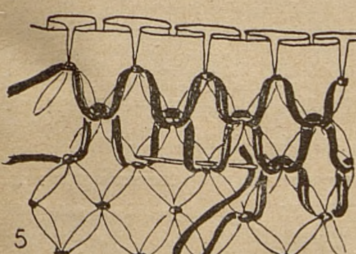
Do wykonania ozdobnego marszczenia nadaje się najlepiej materjał wzięty wzdłuż nitki. Ukośny przedstawia większe trudności

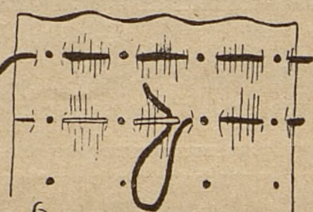


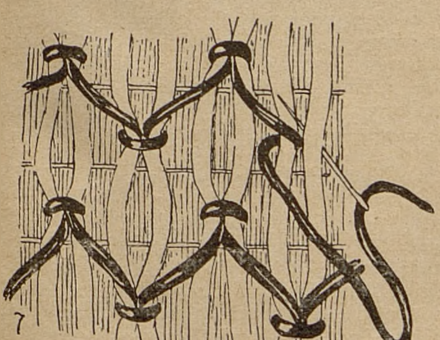


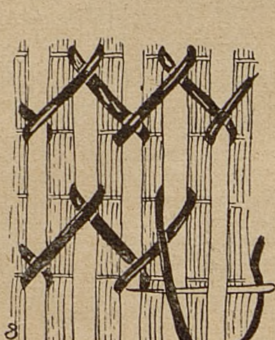






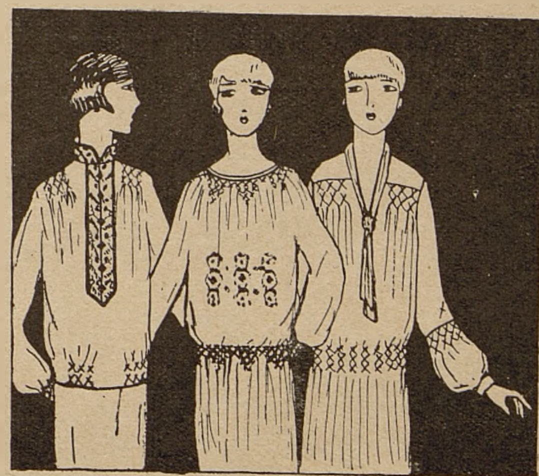






i wymaga już pewnej wprawy, żeby rzecz się udała. Przed marszczeniem, albo ułożeniem fałdków, najlepiej znaczyć materję kropkami w równych odstępach, rys. 1. Do wykonania wzoru t. zw. komórkowego należy ułożyć materję w kontrafałdki, co najłatwiej i najrówniej można uskutecznić sposobem uwidocznionym na rys. 1. A więc nitkę z guzkiem przewlec od lewej strony materjału, następnie igłą przekłuć 2 kropki, któremi naznaczono materjał i dobrze ściągnąć nitką. Umocnić ścieg drugim ściegiem w tem samem miejscu. Nitkę poprowadzić dalej po lewej stronie materjału, rys. 2, i wykonać drugi fałdzik. Przy drugim rzędzie przestawiać fałdziki, rys. 3, przez co tworzą się właśnie owe komórki wzoru. Gotowy wzór przedstawiony na rys. 4. Jest to najprostszy sposób szycia ozdobnych fałdów; potrzeba na to prawie potrójnej długości materjału.

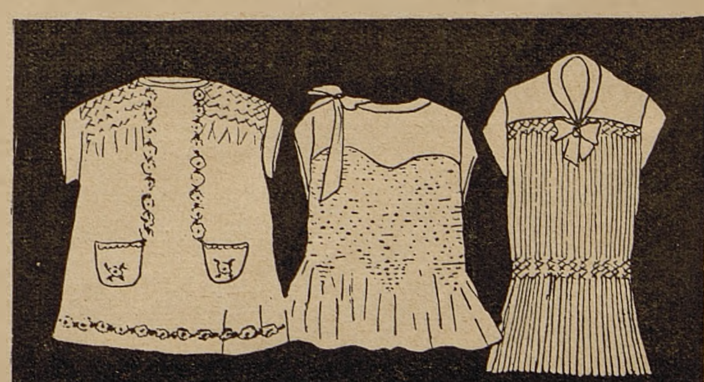
Na wzorze komórkowym można wyszyć inne wzory barwną nitką, np. rys. 5. Jest to wzór bardzo łatwy. W pierwszym rzędzie przewleka się nitkę naprzemian przez ściegi pierwszego i drugiego rzędu komórek. Drugi rząd wykonywa się w ten sposób, że przewleka się nitkę przez nitki ściegu u góry, a przez materję u dołu, jak to dokładnie uwidocznia igła na rys. 5.



Marszczenie, które wymaga mniej materjału, przedstawia rys. 6. Tu również praktycznie jest naznaczyć poprzednio ściegi; dla osób wprawionych jest to zbyteczne. Marszczenie można mniej lub więcej ściągnąć, zależnie od potrzeby i ilości materjału. Nadaje się szczególnie do okrągłych karczków. Rysunki 7 i 8 uwidoczniają 2 sposoby ozdobienia tego rodzaju marszczenia. Pierwszy polega na tem, że ściąga się po 2 fałdki ściegiem dokładnie pokazanym na rys. 7. Łatwiejszy i bardziej prosty jest ścieg widoczny na rys. 8. Jest to prosty ścieg krzyżowy, który można różnie kombinować. Marszczenie można prócz tego zdobić ściegiem gałązkowym w jego różnych odmianach, krzyżykami, łańcuszkiem i t. p.

W szczególności nadaje się marszczenie do sukien i bluzek ozdobionych haftem krzyżykowym i bułgarskim. Ściegi ozdobne powinny być wykonane w kolorach harmonizujących z haftem, albo innem przybraniem sukni, wzgl. bluzki. Do jedwabnych i wełnianych materjałów używa się jedwabnej nici, do bawełnianych — bawełny z połyskiem, albo coton perlé.

Plisowane sukienki łatwo bardzo przybrać sposobami wyżej opisanemi. Odpada bowiem mozolne marszczenie, bo splisowane fałdki wystarczy chwytać ściegami i tworzyć z nich komóreczki. To też często widuje się sukienki całe plisowane, mające zamiast karczka albo paska, albo też w miejscu mankietów, ozdobne ściegi.



Po wypraniu nie prasuje się tych ozdób, tylko wyciąga jeszcze w stanie wilgotnym i nadaje odpowiednią formę, a żelazkiem wygładza się jedynie części niemarszczone.

Z. Kulczycka

PRZECHOWYWANIE MIĘSA W LECIE. — Na wsi często trudno o świeże mięso. Zapasy można przechowywać w rozmaity sposób. Na kilka dni wystarczy zawinąć mięso w świeżo zerwaną pokrzywę, włożyć do glinianego garnka i postawić w piwnicy. Inny sposób polega na uchronieniu mięsa przed dostępem powietrza. Wodę przegotować z łyżeczką opiłek z żelaza i ostudzić. Mięso włożyć do glinianego garnka i zalać tą wodą, a na wierzch nalać mniej więcej na 2 cm oliwy albo oleju jadalnego, który później można jeszcze zużytkować. W ten sposób można mięso przechowywać przez czas dłuższy. Dłużej jak tydzień pozostaje mięso świeże w mleku. Mięso ułożyć w kamiennym garnku, przełożyć kamieniem i zalać zbieranem mlekiem, które powinno pokrywać mięso na 2 cm wysokości. Proces kwaśnienia mleka nie szkodzi mięsu, przeciwnie, czyni je kruchem i smacznem.

Mięso, owinięte w grube płótno i powieszone w suchem i przewiewnem a przytem chłodnem miejscu, pozostaje długo świeże.

W samym początku psucia się mięsa można je jeszcze odświeżyć, zmywając kilkakrotnie zmienianem kwaśnem mlekiem, albo wodą z dodatkiem kalium hypermanganicum. Woda taka powinna być blado-różowa. Gdy pomimo kilkakrotnego płókania mięsa, niezmiennie nabiera sinawo-brudnego koloru, mięso już jest nie do uratowania.

Węgiel drzewny również usuwa przykrą woń. Należy go utłuc w moździerzu, uzyskanym proszkiem nacierać mięso i starannie opłókać. Jeśli niemiła woń występuje podczas gotowania, można ją usunąć, wrzucając do rondla kilka kawałków węgla drzewnego, który powinien się razem gotować. Wyjąć przed zaprawieniem sosu.

PLEŚŃ NA WĘDLINACH i chlebie można usunąć w następujący sposób: zrobić gęstą papkę ze soli i wody i natrzeć nią zapasy. Gdy wyschną, powierzchnia cała będzie pokryta powłoką ze soli, która chroni od pleśnienia.

CHŁODNIKI owocowe są teraz na czasie i powinny znaleźć szerokie zastosowanie ze względu na zawarte w nich witaminy. Owoców należy użyć w stanie surowym, przetrzeć przez sito, osłodzić i rozprowadzić przegotowanem i ostudzonem mlekiem, albo takąż wodą i śmietaną. Szklaneczka wina dodana do chłodnika znacznie poprawia smak.

CHŁODNIKI Z JARZYN odpowiedniejsze dla panów, aniżeli słodkie owocowe, a przedewszystkiem barszcz buraczany, zaprawiony śmietaną. Doskonały jest także chłodnik ze szczawiu. Na kwasie ogórkowym, albo na żytnim barszczu można sporządzić chłodnik z koperkiem, gotowanym osobno na wodzie. Po zaprawieniu śmietaną włożyć ugotowane szparagi i kalafjory podzielone na drobne różyczki. Jako dodatek do chłodników z jarzyn służą jaja ugotowane na twardo i pokrajane, albo raki, jako też plasterki ryby.

Oczywiście, chłodniki te zaprawia się jedynie śmietaną, a nigdy mąką. Chłodzić w piwnicy lub na lodzie.

AGREST można obecnie już zbierać i użytkować. Chłodnik z agrestu jest bardzo orzeźwiający. Sos z agrestu można podawać do mięs, podobnie jak gogodze. Sporządza się go jak następuje: Niedojrzały, oczyszczony agrest sparzyć wrzącą wodą, a gdy przez chwilę w niej postoi, osączyć na sicie. Tymczasem zrobić zasmażkę z mąki na maśle, rozprowadzić wodą, dodać białego wina, trochę cukru i skórki cytrynowej. Nakoniec wrzucić sparzony agrest i zagotować na wolnym ogniu.

DOSKONAŁE SĄ KRUCHE CIASTKA z agrestem. Upiec okrągłe ciastka z brzegiem dookoła, niby ryneczki malutkie, a gdy ostygną, napełnić je agrestem ugotowanym w syropie ale nierozpękniętym i osączonym. Na każde ciastko dać czapeczkę ze sztywnej piany z białek z cukrem i prędko zapiec w rurze do lekkiego zrumienienia. Można także zamiast piany z białek podać ubitą śmietankę albo kwaśną śmietanę, ale przybrać nią ciastka bezpośrednio przed podaniem. Ciastka te można również napełnić świeżemi poziomkami, przesypanemi miałkim cukrem.

GALARETKA Z AGRESTU. — Galaretki najlepiej gotować w dużym kamiennym garnku albo rondlu. Jeszcze lepsze są porcelanowe naczynia ogniotrwałe. Na 2 kg zielonego agrestu nalać 2 l wody i ugotować agrest do miękkości. Następnie przecedzić przez sito i na tę samą wodę rzucić 1 kg świeżego agrestu. Po ugotowaniu przecedzić przez płótno wolno zawieszone nad naczyniem. Jeżeli galaretka ma być przezroczysta, nie należy soku wyciskać.

Na 1 l soku liczy się 1 kg cukru. Gotować sok z cukrem dopóty aż próba na talerzu się zetnie, następnie wlewać gorący do słoików. Galaretka powinna być przejrzysta i czerwona.

KONFITURA Z POZIOMEK łatwo pleśnieje, dlatego należy dodać więcej cukru, licząc 1½ kg na 1 kg poziomek. Słoiczki obwiązać papierem, maczanym w rumie.

KONSERWY Z AGRESTU BEZ CUKRU można zrobić w butelkach. Przebrany agrest oczyścić, napełnić nim butelki, najlepiej szampanówki, do ²/₃, nalać tyle przegotowanej i ostudzonej wody, żeby agrest był pokryty dostatecznie, ale nie do pełna, gdyż butelki popękałyby podczas sterylizowania. Po szczelnem zakorkowaniu ustawić je w dużem naczyniu na warstwie siana i odgrodzić od siebie również sianem. Nalać zimnej wody tyle, żeby tylko końce szyjek wystawały i gotować na wolnym ogniu, licząc od chwili zakipienia 20—25 minut. Następnie zdjąć naczynie wraz z butel-

kami z ognia i pozwolić powoli ostygnąć. Wtedy zalakować butelki lakiem, który można w domu sporządzić z 2 dkg żółtego wosku, 6 dkg smoły szewskiej i 4 dkg kalofonji. Wystarcza na dużą ilość butelek.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Stała Czytelniczka Iza. — Podajemy żądany adres: dr. Adam Sołtysik, Lwów, pl. Marjacki 9.

Warszawianka. — Miły i szczery liścik Pani ujął nas prawdziwie. Wszystkim wywodom Pani przyznajemy słuszność i nie przeczymy, że dział, o którym Pani wspomina, mógł oddawać Czytelniczkom niejednokrotnie usługi. Niestety, tak się złożyło, że autor musi go zaniechać. Jednakowoż zapewniamy Panią, że zawsze chętnie i wyczerpująco odpowiemy listownie na wszystkie Jej wątpliwości, i prosimy o zwracanie się do nas z zaufaniem. Gdyby Pani chodziło o incognito, przyjmiemy adres poste restante.

M. Torimow. — 1. Z oczyma należy udać się do okulisty, gdyż na tej drodze leczyć ich nie można. 2. Przyciemnia rzęsy nieszkodliwie Henna, albo chiński tusz. Nie dziwi nas, że eksperyment ten u Pani zawiódł, gdyż do wykonania go trzeba fachowych wiadomości. Pani, jako siedmnastoletnia panienka, nie posiada ich chyba i dlatego radzimy udać się do fryzjera specjalisty. Farbowanie brwi „na stałe" trwa 2—3 tygodni, poczem trzeba powtarzać. 3. Wady w budowie, o których Pani wspomina, usunąć może jedynie racjonalna gimnastyka. Następnie, to co Pani pisze o kuracji tuczącej i masażu nie wytrzymuje krytyki; pierwsza nie ma wpływu na budowę ciała — drugi jest rękoczynem, który wymaga nauki i wprawy. Z tej więc przyczyny nie może go Pani sama wykonywać, ani też — jak się Pani tego spodziewa — nauczyć go z odpowiedzi redakcji. 4. „II. Almanach" można nabyć w cenie zł. 5. — Znajdzie w nim Pani zbiór racjonalnych ćwiczeń gimnastycznych, z których radzimy korzystać.

Dziutka z Kołomyi. — 1. Podajemy adres p. dr. Wepperówny: Lwów, Janowska 26. Szczegółów, o które Pani pyta, nie znamy; radzimy zwrócić się listownie do p. dr. W., która najlepiej Ją objaśni. 2. Nieszkodliwym środkiem do przyciemniania brwi i rzęs jest Henna.

Do P. T. Autorów. — Redakcja Świata Kobiecego zwraca rękopisy jedynie po otrzymaniu znaczków na opłatę pocztową.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

JACK LONDON: *Serce kobiety.* Bibljoteka Dzieł Wyborowych, Lwów. Jack London należy do najpopularniejszych dziś pisarzów, nietylko w Europie, ale bodaj że w całym cywilizowanym świecie. Egzotyczny koloryt jego dzieł, obok wielkiego realizmu i prawdy życiowej, zjednał mu we wszystkich krajach ogromne rzesze czytelników.

WARNER FABIAN: *Słomiani wdowcy.* Powieść, tom I i II. — Mało jest książek, któreby utrzymywały czytelnika w takiem zainteresowaniu od pierwszej do ostatniej strony, jak „Słomiani wdowcy". Niezwykle barwna i urozmaicona treść tej powieści, osnutej na tle stosunków towarzyskich wśród inteligencji amerykańskiej, czyni z niej lekturę nietylko naprawdę przyjemną ale i pożyteczną, gdyż daje możność poznania zwyczajów środowiska, wpływającego dziś dzięki swej potędze finansowej na losy świata.

L. TOŁSTOJ: *„Anna Karenina".* Bibljoteka Dzieł Wyborowych, Lwów. Nazwisko Tołstoja nie potrzebuje żadnej reklamy. Znajomość jego dzieł należy do ogólnego zakresu wykształcenia każdego inteligentnego czytelnika. Anna Karenina stoi w rzędzie najtęższych utworów literatury powszechnej.

ELLEN KEY: *Stulecie dziecka.* Wyd. „Bibljoteki Dzieł Pedagogicznych". Nakładem „Naszej Księgarni". Stulecie dziecka — to dzieło głośne na cały świat. Po ukazaniu się w tłumaczeniu polskiem (20 lat temu) zostało wkrótce wyczerpane w I i w II wydaniu. Autorka zwraca uwagę świata na krzywdę dziecka, śmiało i bezwzględnie obnaża rany społeczne, powodujące tę krzywdę i wskazuje środki zaradcze. Ogromną wagę przypisuje wychowaniu, od którego, jej zdaniem, zawisła lepsza lub gorsza przyszłość świata. Kładzie mocny nacisk na wychowanie rodzinne, któremu daje pierwszeństwo przed szkolnem, tłumiącem indywidualność.

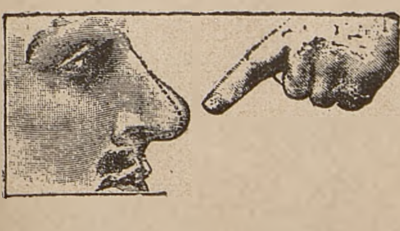
RAFAŁ MALCZEWSKI, którego utalentowane pióro znane jest już czytającej publiczności z feljetonów czasopism, zebrał w książce p. t. „*Narkotyk gór*" cykl nowel górskich, specjalnie zaś tatrzańskich. (Nakł. Gebethnera i Wolffa.)

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewka.**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27. Warszawa, Piękna 16 b.

Telefon administracji: 4-32. Z drukarni „Dziennika Polskiego" (T. L. Barszczyński), Lwów, Cicha 5. Telefon redakcji: 48-34.

UNIWERSALNY APARAT DO KSZTAŁTOWANIA NOSA „ZELLO-PUNKT"



Podobne błędy w budowie nosa dadzą się łatwo usunąć aparatem „ZELLO-PUNKT".

NIEKSZTAŁTNY NOS PRZESZKODĄ ::: W ŻYCIU :::

Ogólnie wiadomo, że duży i gruby nos szpeci twarz normalną, postarzając zarazem daną osobę. Skoro n. p. kobieta chce, aby oblicze jej nabrało powabu młodości, powinna w pierwszym rzędzie pomyśleć o nadaniu normalnego kształtu swemu nosowi. Brzydki i nieforemny nos nietylko podpadnie każdemu, lecz jest również bardzo niedogodny nietylko dla pań, lecz także dla panów i dzieci. Nieforemny nos stanowi nawet poważną przeszkodę dla kupca i urzędnika, którym z trudem tylko uda się utrzymać konieczny w takich wypadkach autorytet.

Najwięcej jednakże cierpią w tym względzie kobiety. Stwierdzone bowiem jest, że błędy fizyczne wywołują nieraz depresję umysłową. Nie można też wziąć nikomu za złe, że stara się wady podobne usunąć, a już najmniej uważać to za próżność. Powinien sobie wręcz każdy uważać za swój obowiązek, aby jego wygląd zewnętrzny przedstawiał się jak najsympatyczniej.

Aparat „ZELLO-PUNKT" pasuje do każdego nosa, podawanie i opisywanie więc kształtu jest zbędne.

Cena aparatu 16·50 zł.
z przesyłką 17·50 zł.

Do każdego aparatu dołącza się bezpłatnie dokładny opis i sposób użycia.



WPŁYW DOBROCZYNNY NORMALNEGO KSZTAŁTU :::: NOSA ::::

„ZELLO-PUNKT" jako aparat ortopedyczny, sporządzony przy współudziale lekarzy ściśle podług najnowszych badań naukowych, stał się już dla niejednego dobroczyńcą, skąd też gorące zalecanie go przez wielu profesorów i lekarzy. Rezultat długoletnich zabiegów i licznych prób najznakomitszych lekarzy i badaczy, jak Langenbeck, Dieffenbach i Schleich, zastosowany został przy konstrukcji najnowszego modelu 21, uniwersalnego aparatu do kształtowania nosa „ZELLO-PUNKT". Liczne doświadczenia wykazały całkowitą użyteczność aparatu, a lekarze specjaliści określają go jako ostatni najdoskonalszy wyraz techniki w tym kierunku. Aparat przez swą wyściółkę dopasować można jak najdokładniej do każdego nosa, a elastyczność i miękkość wyściółki nie przeszkadza w noszeniu, bądź w oddychaniu.



Powyższy świetny rezultat osiągnięto w krótkim czasie aparatem „ZELLO-PUNKT".

Z uznaniem i wdzięcznością wyraża się o nim każdy, tem więcej, że aparat „ZELLO-PUNKT" dopomógł mu do pozbycia się śmiesznego nieraz wyrazu twarzy, że kształt jego nosa t. zw. ogórkowaty przestał być przedmiotem drwin innych, oraz że z powodu szerokiego lub grubego nosa przestano ją uważać mimo 20 lat za znacznie starszą.

SPOSÓB UŻYCIA APARATU **„ZELLO-PUNKT"** BARDZO ŁATWY, NAJWYGODNIEJ PODCZAS SNU. 777

B. PRUSIEWICZ — POZNAŃ I. — PLAC NOWOMIEJSKI 7 a.

RUDOLF PÜRTZL

Fryzjer w Hotelu George'a. — Tel. 55-90

dyplomowany na Wystawie Międzynarodowej w Paryżu w 1927 zawiadamia uprzejmie, że po znacznem powiększeniu

SALONU CZESANIA PAŃ

i po wyposażeniu takowego w największy komfort, wykonuje farbowanie włosów L'Oriental, Henna Gora, Kemol i L'Oreal, Henne, oraz brwi i rzęs. Stała i wodna ondulacja, strzyżenie i mycie włosów, masaż twarzy, manicure.

Ceny konkurencyjne, obsługa bardzo solidna.

Uwaga: **ZAKŁAD FRYZJERSKI RUDOLFA PÜRTZLA, nast. I. JAHLA mieści się tylko w Hotelu George'a, wchód z ul. Sienkiewicza, drugie wejście przez Hotel George'a.** 737



767



676



741

